

ERNST HOFFMANN

POWIEŚCI
FANTASTYCZNE

Ernst Theodor Amadeus Hoffmann

Powieści fantastyczne

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843246

Powieści fantastyczne:

Аннотация

Zbiór ośmiu krótkich utworów prozatorskich w tłumaczeniu Antoniego Langego, przenoszących czytelnika w świat magii, alchemii, nadprzyrodzonych zjawisk i niewyjaśnionych wydarzeń. Twórczość fantastyczna Hoffmana, utrzymana w tajemniczym, magicznym klimacie zawieszonym między jawą a snem, była inspiracją dla wielu późniejszych autorów tego nurtu, np. Poe'go i Lovecrafta. Ernst Theodor Amadeus Hoffman był niemieckim pisarzem, poetą i kompozytorem, prekursorem nurtu fantastyki grozy w literaturze. Związany z polską kulturą, ożenił się z Polką i przez pewien czas mieszkał w Polsce. Znany przede wszystkim jako autor Dziadka do orzechów.

Содержание

Przedmowa	4
Don Juan	15
W loży cudzoziemców Nr. 23	26
Nazajutrz rozmowa przy stole	33
Kawaler Gluck 30	34
Majorat 71	53
Конец ознакомительного фрагмента.	109

E. T. A. Hoffmann

Powieści fantastyczne

Przedmowa

Do najmniej uprawianych u nas w literaturze dziedzin należy fantastyczność. Henryk Rewuski w pewnej serii traktuje historie o duchach, ale po prostu jako bajki dla starych dzieci; Jan Potocki swą bardzo bujną opowieść *Rękopis znaleziony w Saragossie*, pełną dziwnych przygód, zakrojonych na arabski sposób, kończy racjonalistycznym wykładem, który wszystkie czarnoksiężstwa opowiadania tłumaczy w sposób naturalny; Bohdan Dziekoński, najbardziej skłonny do fantastyczności, występuje jako okultysta, nie zaś jako marzyciel i wizjoner, odczuwający tajemnicze analogie zjawisk – niezależnie od doktryny.

Stworzyć świat nowy, barwniejszy od rzeczywistości, a jednak rzeczywisty jako marzenie, jako wizja, jako opętanie duszy – oto jest motyw istotny literatury fantastycznej. Nie jest ona ani dydaktyczna, ani symboliczna, ani alegoryczna: to kraina odmienna, choć styczna do czystej fantasmagorii¹. W świecie wyobraźni jest pewna prawda o kolorycie specjalnym

¹ *fantasmagoria* – iluzja, fantastyczne obrazy, wizje, również wymieszanie jawy i snu. [przypis edytorski]

– prawda psychologiczna. Czasami, jak u Edgara Allana Poe, fantastyczność przybiera cechy, rzekłbyś, matematyki; czasami kaprys nieskończony, bezustanne poszukiwanie różności, samoironia, wreszcie wprost igraszka – kieruje fantastą; rzeczywistość go nie zadowala, na tle rzeczywistości codziennej tworzy on inną, niekoniecznie doskonalszą i wyższą, ale odmienną, szczególną, barwniejszą; w tragiczności – tragiczniejszą, w radości – radośniejszą; prawa natury są przestawione albo raczej ulegają jakimś wyższym, poza naturą bytującym, prawom: bezład pozorny zdarzeń, które się ukazują oku fantastyka, ma w sobie utajoną logikę, że tak powiemy, innej płaszczyzny.

Takim fantastykiem był Ernest Teodor Amadeusz² Hoffmann (1776–1822), pisarz niemiecki, największy fantast z fantastów; nawet w owym okresie romantycznym, kiedy to w Niemczech żyli i pisali: Jean Paul, Tieck, Novalis i inni tego typu autorzy – odznaczał się najbujniejszą pomysłowością i kolorowością fantazji.

E. T. A. Hoffmann urodził się w Królewcu w roku 1776 dnia 24 stycznia. Ojciec jego był sędzią i niezbyt dobrze żył ze swą żoną, córką Doerfera, kobietą chorą, choć nader złą. Rodzice rychło się rozeszli, zwłaszcza gdy ojciec otrzymał stanowisko w Insterburgu (Instruciu) i przeniósł się do tego

² Ernest Teodor Amadeusz – właściwie trzecie imię Hoffmanna brzmiało Wilhelm, ale w późniejszych latach przybrał on sobie, ku czci Mozarta, imię Amadeusz. [przypis tłumacza]

miasta. Matka z dzieckiem pozostała w Królewcu. Brat jej, również sędziak, mieszkał z nią razem i pierwszy zajmował się wychowaniem dziecka. Był to pedantyczny dziwak, który nie mały tyranizował chłopca, ale za to uczył go początków muzyki, co bardzo wpłynęło na rozwój jego talentu. Pocięchą dość smutnych pierwszych lat życia Hoffmanna była jego ciotka, osoba stosunkowo młoda, pełna dobrego humoru – oraz brat jego babki, stary justycjariusz³ Vötöry, którego Hoffmann później odmalował w powieści *Majorat*. Dziad ten był, jak to widać z nazwiska, pochodzenia węgierskiego – i w ten sposób Hoffmann, jak większość ludzi wybitnych, nie był czystej krwi jednorasowej: był pół-Niemcem, pół-Węgrem.

W ósmym roku życia zaczął chodzić do szkoły, której rektorem był Wannowski, mąż uczonej, a którego Immanuel Kant zaszczycał swą przyjaźnią. Hoffmann początkowo nie należał do najlepszych uczniów, zwłaszcza łacina i greka szły mu nieszczególnie; chętnie natomiast oddawał się muzyce, której go uczył organista Podbielski oraz malarstwu, w czym mistrzował mu niezgorszy malarz królewiecki Seeman. Tu w szkole znalazł również przyjaciela: był to nieco starszy młodzieniec, Teodor Hippel, który później został towarzyszem ministra von Hardenberga i nieraz w ciężkich okazjach ratował Hoffmanna. Jeszcze w szkole będąc, dopomagał Ernestowi w nauce języków

³ *justycjariusz* (daw.) – oprawca, urzędnik powołany do ścigania, przeprowadzenia śledztwa i sądzenia zawodowych złodziei oraz rabujących na drogach. [przypis edytorski]

klasycznych. Z innych kolegów godni uwagi: Faber – muzyk oraz malarz, Matuszewski, później emigrant w Paryżu.

W roku 1793 wstąpił Hoffmann za poradą rodziny na fakultet prawny, co go straszliwie nudziło; słuchał też Kanta, ale wyznawał, że nic go nie rozumie. Próbował pisać powieści, romanse awanturnicze, jak *Cornaro* (w 3 tomach) lub *Der Geheimnisvolle*, które zaginęły. Na te czasy przypadła pierwsza jego miłość – do zamężnej uczennicy swej, Kory Hatt, co stanowiło dramat jego życia aż do małżeństwa w roku 1802.

Te wspomnienia rodzinnego miasta znajdujemy później w jego opowieściach, na przykład miłość do Kory w *Nocy Św. Sylwestra* itd. – Jako tzw. auskultator sądowy⁴ pojechał do drugiego brata swej matki, Doerfera w Głogowie, na praktykę sądowniczą. Dom tego urzędnika w małym, cichym mieście stanowił oazę życia umysłowego i artystycznego: zamiłowanie literatury i muzyki kwitło tu w pełni; – tu Hoffmann miał okazję rozwinąć zwłaszcza swój talent muzyczny i nawet zaczął układać pierwsze kompozycje. Jednocześnie dużo pracował nad malarstwem; ponieważ miał w sobie pewien zmysł ironii – nęciła go karykatura na wzór Hogartha lub znów fantasmagorie Jakuba Callota. Ten ostatni rysownik oddziałwał bardzo silnie na wyobraźnię Hoffmanna i pierwsze swoje utwory literackie Hoffman określał jako *Fantasiestücke in Callot's Manier*.

W czasie swego pobytu w Głogowie młody jurysta odbył podróż do Drezna i do Pymont, gdzie w domu gry stracił

⁴ auskultator sądowy – praktykant sądowy. [przypis edytorski]

znaczłą sumę; w opowiadaniu *Szczęście w grze* zachowało się wspomnienie tej podróży. W roku 1798 pierwszy raz był w Berlinie, gdzie zdał egzamin asesorski i gdzie się spotkał z Hippelem. – Po czym wyznaczono go do służby w nowo nabytych terytoriach pruskich, mianowicie w Poznaniu. Tu Hoffmann, dzięki swoim talentom i dowcipowi, stał się ulubieńcem towarzystwa. Miał też niemało stosunków w domach polskich; zwłaszcza zbliżył się z rodziną Trzecińskich. W roku 1802, w kwietniu poślubił Marię Teklę Michalinę Trzecińska, której nazwisko przełożył na niemiecki: Rörer; i krewni jej też się przewalili Rörer-Trzynsky. Z opowiadań żony swej ułożył nowelę: *Das Gelübde* (Ślub).

Na balu maskowym w roku 1803 Hoffmann wypuścił cały szereg bardzo zabawnych karykatur, ośmieszających różne osobistości miasta Poznania, między innymi zaś ówczesnego gubernatora, generała von Zastrow. Ponieważ tajemnica autorstwa tych karykatur rychło się wydała – rząd miejscowy postanowił ukarać Hoffmanna i przeniósł go na gorsze stanowisko, do Płocka. Brak towarzystwa całkiem dobrze oddział na młodego artystę, który jeszcze nie wybrał sobie zawodu.

W Płocku Hoffmann głównie uprawiał muzykę; mianowicie dla sąsiedniego opactwa (w Czerwińsku?) komponował msze, oratoria, sonaty. Dzieła te są dziś nieznanne; ponieważ jednak archiwum opactwa Czerwińskiego znajduje się w bibliotece Zamoyskich w Warszawie, możliwym jest, że te dzieła muzyczne

spoczywają tam pośród innych pamiątek i byłoby to wdzięczne zadanie dla którego z naszych artystów–muzyków wydobyć te utwory z pyłu zapomnienia.

W roku 1804, z tytułem radcy Hoffmann z żoną i małą córeczką oraz dwunastoletnią kuzynką z Poznania (później żoną Łęczyckiego?) przybył do Warszawy, przydzielony do komisji rządowej. Warszawa uczyniła na Hoffmannie kolosalne wrażenie, jako pełne ruchu i ożywienia, piękne i bogate miasto stołeczne. Referendarz komisji rządowej, zwierzchnik Hoffmanna, Hitzig, okazał się dla niego bardzo życzliwy: otworzył mu swoją bibliotekę i popierał różne jego dążenia, głównie zaś zamiar stworzenia w Warszawie Towarzystwa Muzycznego. Początkowo mieściło się w pałacu Ogińskich, później jednakże przeniesiono je do pałacu Mniszków, gdzie Hoffmann sam ornamentował sale *al fresco*⁵. Dnia 3 sierpnia roku 1806 Warszawa, dzięki Hoffmannowi, pierwszy raz usłyszała dzieła Glucka, Mozarta, Haydna, Cherubiniego.

Niedługo jednakże trwało panowanie pruskie w Warszawie. Wkrótce po bitwie pod Jeną wkroczyła do Warszawy armia francuska, z księciem Józefem i Wybickim na czele. Imieniem cesarza Napoleona rząd pruski został rozwiązany. Założono Księstwo Warszawskie. Sądy oddane zostały w ręce polskie. Urzędnicy pruscy musieli kraj opuścić. Hoffmann jednakże tak polubił Warszawę, że jeszcze w niej pozostał; póki miał

⁵ *al fresco* – technika malarstwa polegająca na nanoszeniu farby na wciąż wilgotny tynk; fresk. [przypis edytorski]

pieniądze (z indemnizacji⁶ francuskiej), siedział w stolicy; oglądał rewie napoleońskie, śpiewał u Bernardynów, dalej pracował nad Towarzystwem Muzycznym.

W końcu jednak doszedł do ostatecznej nędzy – skorzystał więc z okazji, że Francuzi wysyłali pod eskortą swego wojska pruski skarb i wraz z tą ekspedycją udał się do Poznania, a potem do Berlina.

Rodzina jego przedtem już była w Poznaniu, ale zwolniony z etatu Hoffmann nie miał środków utrzymania. Okres berliński z roku 1807 był najbardziej nieszczęśliwy w jego życiu.

Raz nawet zmuszony był przyjąć pięć talarów zapomogi w towarzystwie „dla królewskich urzędników rządowych w Poznaniu i Warszawie”. Nadto ówczesny *Allgemeiner Anzeiger der Deutschen* (urzędowy) ogłosił liryczne *Wezwanie do przyjaciół ludzkości z powodu surowego położenia urzędników niemieckich w Warszawie*.

Ostatecznie Hoffmann znalazł posadę dyrektora orkiestry w teatrze w Bydgoszczy. Pensji miał 30 florenów miesięcznie, ale i tę wypłacano mu nieregularnie. Wówczas jednak po raz pierwszy zaczął drukować swoje utwory muzyczne; nadto wydał album kolorowy pod tytułem *Wojsko polskie*. Uzyskał w mieście liczne lekcje śpiewu. Skomponował *Requiem* i *Miserere*. Pisywał do *Leipziger Musik-Zeitung* oraz do *Elegante Welt*. W roku 1810 umarła mu córka, a prawie jednocześnie umarł jego wuj, Otto Doerfer z Królewca, po którym otrzymał 500 talarów. Na roku

⁶ *indemnizacja* – tu: odszkodowanie. [przypis edytorski]

1812 przypada początek jego działalności literackiej. Były to głównie studia muzyczne lub opowiadania na tle muzycznym (*Kawaler Gluck, Don Juan, Kreisleriana* itd.). Rzeczy te wraz z innymi wyszły później pod ogólnym tytułem: *Fantasiestücke in Callot's Manier. Blätter aus dem Tagebuche eines reisenden Enthusiasten* – z przedmową Jean Paula Richtera.

Odtąd, ciągle jeszcze pracując jako dyrektor muzyki i kompozytor⁷, przeważnie jednak poświęcał się literaturze. Do dzieł muzycznych bardzo ważnych Hoffmanna należy opera *Undine* według poematu de la Motte Fouque; opera ta miała średnie powodzenie, ale kilka lat temu wznowiona – obudziła wielkie zainteresowanie: Hoffmann okazał się tu niezrozumianym poprzednikiem Ryszarda Wagnera. Opuściwszy Bydgoszcz, Hoffman przeniósł się do Dreżna i Lipska, które miały wspólny teatr pod dyrekcją Secundy. Z owych czasów pochodzi ciekawy opis oblężenia Dreżna przez armię francuską.

Tu były napisane *Złoty garnek, Magnetyzer, Automaty, Prinzessin Blandina* i inne nowele – wreszcie pierwsza większa powieść: *Eliksiry diabelskie*.

Opuściwszy Saksonię, Hoffmann przeniósł się do Berlina (1814), gdzie Hitzig otworzył księgarnię. Tu – na przemiany

⁷ pracując jako dyrektor muzyki i kompozytor – Griesebach zaznacza, że w ciągu maja, czerwca i lipca 1808 r. Hoffmann ułożył *Canzoni per quattro voci alla capella*, a mianowicie 1) *Ave maris Stella* w F dur, 2) *De profundis clamavi* w E moll, 3) *Gloria patri* w C dur, 4) *Salve redemptor* w A moll, 5) *O Sanctissima* w F dur, 6) *Salve regina* w D moll. [przypis tłumacza]

już to zamożny, już w nędzy – Hoffmann zaczął się oddawać pijaństwu; alkohol z wolna go przeżerał. Otrzymał zresztą posadę rządową, jednakże wieczory i noce przepędzał głównie po szynkowniach i winiarniach. W Berlinie stworzył sobie Hoffmann kółko przyjaciół, do którego należał księgarz Hitzig, de la Motte Fouque, Chamisso, Contessa, Tieck, aktor Devrient i inni. Tu powstawały różne projekty literackie, jak na przykład wydanie zbiorowej książki dla dzieci, którą ułożyli razem de la Motte Fouque, Contessa i Hoffmann. Ten ostatni dał tu śliczną powiastkę pod tytułem *Mysi król i dziadek do orzechów*, którą Aleksander Dumas (ojciec) przerobił na francuski. Ponieważ kółko to zebrało się po raz pierwszy w winiarni u zbiegu Charlottenstrasse i Französischestrasse (Lutter i Wegener) dnia 14 listopada, w dzień św. Serapiona – członkowie klubu nazwali się *Serapionsbrüder*. Mieli oni za obowiązek opowiadać sobie rozmaite historie. Nadto Hoffmann malował i z kartonu wycinał różne figurki, występujące w tych opowiadaniach.

Zaznaczę tu mimochodem, że Hoffmann, jak w ogóle romantycy niemieccy, był zupełnie obojętny w rzeczach politycznych. Mimo to w roku 1815 wypuścił broszurę bezimienną pod tytułem *Der Dey von Elba in Paris*, o ucieczce Napoleona z Elby; broszura ta jednak zaginęła tak, że dotąd jej nie odnaleziono i nie przedrukowano.

W winiarni Luttera i Wegenera powstał cały szereg opowiadań, znanych pod ogólnym tytułem: *Serapionsbrüder*. Tu należą tzw. *Nachtstücke*, *Majorat*, *Ślub*, *Człowiek z Piasku*,

Meister Floh, Prinzessin Brambilla, Klein Zaches, wreszcie długa powieść *Kater Murr* itd.

W roku 1821 Hoffmann był pełny najlepszych nadziei, ale w 1822 rozchorował się śmiertelnie; skutkiem życia bezładnego i nadużyć alkoholycznych nastąpiło wycieńczenie organizmu i paraliż niemal całkowity.

Jakiś czas jeszcze humor i fantazja mu dopisywały: dyktując, ułożył kilka ostatnich fragmentów, jak *Naróżne okno*, *Wyzdrowienie* oraz krótki urywek *Naiwność*. Kilka opowiadań, jak *Neueste Schicksale eines abenteuerlichen Mannes* oraz *Der Feind* – pozostało niewykończonych.

Umarł w Berlinie dnia 25 czerwca 1822 roku.

Na grobowcu jego, który mu wystawili przyjaciele, zaznaczono, że był znakomity jako pisarz, jako muzyk, jako malarz.

Istotnie we wszystkich tych trzech kierunkach wykazał Hoffman talent niepospolity, ale najświetniejszy był w opowiadaniu fantastycznym; chociaż miał w tym rodzaju poprzedników, to jednak sam w tym typie stworzył własny odcień fantasmagorii, która słusznie zowie się hoffmannowską.

Francuzi, bardzo wrażliwi na piękno literackie, pierwsi wcześniej niż sami Niemcy ocenili wartość Hoffmanna, który należy do tak zwanych *auteurs francisés*, to jest choć cudzoziemców, zaliczonych jednak do literatury francuskiej. – Zachwycał się nim Alfred de Musset, G. de Nerval, Teofil Gautier, Honoré Balzac, George Sand, Baudelaire i inni.

Tłumaczyli go różni, a między innymi Aleksander Dumas (ojciec) przerobił jego *Dziadka do orzechów*. Również bardzo upowszechniony jest Hoffmann we Włoszech, a na język angielski tłumaczył go nie byle kto, bo Thomas Carlyle.

Po polsku Hoffmann mało jest znany dotychczas; brak zmysłu fantastyczności sprawił, że pierwszy zbiór tłumaczeń tego autora, wydany pod tytułem *Powieści E. T. A. Hoffmanna, tłum. z oryg. M Er. Wereszczyński, Warszawa, nakład H. Natansona, 1859* – zawiera właśnie te utwory, w których, mimo piękność, istota hoffmannowskiego talentu – fantastyczność – występuje słabiej. (*Dola graczy, Fermata, Signor Formica, Doża i Dogaressa*). Dopiero w *Kłosach* (1867) drukuje Józef Pracki przekład *Majoratu*, a Felicjan Faleński przekład noweli *Sandmann* pod tytułem *Człowiek w piasku*. Przed kilku laty wyszły w Bibliotece Dzieł Wyborowych *Diabły Eliksiry*, a w Bibliotece Złoczowskiej tomik zawierający *Pannę de Scudery* oraz *Kopalnie Faluńskie*. Wreszcie wydany został *Złoty Garnek* w przekładzie J. Kleczyńskiego (1907). Kilkakrotnie też wychodziła *Historia Dziadka do orzechów* jako arcydzieło literatury dla dzieci.

W niniejszym zbiorze korzystamy z niektórych dawnych tłumaczeń; pozostałe są naszego pióra.

Antoni Lange

Don Juan

Z dziennika podróżującego entuzjasty

Dźwięczny a mocny głos wołający: „Widowisko się zaczyna!” zbudził mnie ze słodkiego snu, w jakim byłem pogrążony. Basy brzęczą, jedne przez drugie – uderzenie bębna – huk trąby – jasne A wydobyte z obojów – preludium skrzypcowe: oczy sobie przecieram, czy diabeł drwi sobie ze mnie?... Nie, jestem w pokoju hotelu, dokąd przybyłem pod wieczór, znużony i zmęczony. W pobliżu mam sznurek dzwonka, ciągnę, zjawia się posługacz.

– W imię Boga, cóż to za pomieszana muzyka, co tu dzwoni koło mnie? Czy tu koncert odbywa się w domu?

– Ekscelencja – (piłem przy obiedzie szampana) – nie wie być może, że ten hotel styka się z teatrem. Te drzwi tapetą osłonięte otwierają się na korytarzyk prowadzący do numeru 23, łoża cudzoziemców.

– Jak to? Teatr! Łoża cudzoziemców!

– Tak jest, mała łoża na dwie lub trzy osoby najwyżej, to dla gości bardzo dostojnych. Ma okno ze sztachetą, obicie zielone i mieści się w pobliżu sceny. Czy wasza ekscelencja nie

raczyłyby? Dają dziś *Don Juana*⁸ sławnego Mozarta. Miejsce kosztuje półtora skuda⁹; umieścimy w rachunku.

Ostatnie słowa mówił, otwierając drzwi łoży; gdyż, usłyszawszy to imię Don Juan – szybko rzuciłem się w korytarz.

Sala była obszerna, ozdobiona ze smakiem i dobrze oświetlona; łoże i parter pełne słuchaczy. Pierwsze akordy orkiestry dały mi wyborne pojęcie o orkiestrze i jeżeli śpiewacy jej dorównają, to będę się rozkoszował należycie arcydziełem wielkiego mistrza. W *andante*¹⁰ zgroza straszliwego podziemnego *regno all pianto*¹¹ – przepętniła mi ducha dreszczem przerażenia. Radosna fanfara siódmego taktu *allegro*¹² zabrzmiała jak oszałamiający wykrzyknik zbrodni; zdawało mi się, że wychodzą z mroku duchy ogniste o płomiennych szponach; potem ludzie, co tańczą jak opętani nad brzegiem przepaści. Walka natury ludzkiej z nieznanymi potęgami, co dążą ku jej unicestwieniu, ukazała się memu duchowi. Na koniec burza cichnie, zasłona się podnosi.

⁸ *Don Juan – Don Giovanni*, opera Wolfganga Amadeusza Mozarta, libretto napisał Lorenzo da Ponte na podstawie sztuki Moliera *Don Juan*. [przypis edytorski]

⁹ *skud* (wł. *scudo*, z łac. *scutum*: tarcza) – daw. złota lub srebrna moneta używana we Włoszech. [przypis edytorski]

¹⁰ *andante* (muz., wł.: idąc) – tempo wykonania utworu muzycznego: z prędkością spokojnego kroku. [przypis edytorski]

¹¹ *regno all pianto* (wł. królestwo płaczu a. czas, kiedy panuje lament) – termin stworzony przez autora na określenie atmosfery fragmentu utworu. [przypis edytorski]

¹² *allegro* (muz., wł.: radośnie) – tempo wykonywania utworu w muzyce: wesoło, żywo. [przypis edytorski]

Drżąc z zimna w swoim płaszczu, ze smutną twarzą, zbliża się Leporello¹³, pośrodku nocy, przed pawilonem, i szeptem: *Notte e giorno faticar*¹⁴. – A, więc po włosku – tu, w Niemczech, po włosku: *ah, che piacere!* Usłyszę więc wszystkie recytatywy, jak je wielki mistrz zrozumiał i nam pozostawił.

Don Juan wchodzi na scenę, a za nim Dona Anna¹⁵, trzymając winowajcę za płaszcz. Co za widok! Mogłaby być większą, smuklejszą, bardziej majestatyczną w ruchu; ale co za głowa! Oczy, z których wyblyska niby snop iskier elektrycznych, niby ogień grecki¹⁶, którego nic nie zdoła ugasić, gniew, miłość, nienawiść, rozpacz; warkocze włosów czarnych snują się po szyi. Biała suknia osłania i zdradza jednocześnie wdzięki, których nigdy się nie ogląda bez niebezpieczeństwa. Serce jej, poruszone działaniem okrutnym, uderza gwałtownie. A teraz co za głos! *Non sperar se non m'uccidi!*

Wśród wrzawy instrumentów głos jej wybucha jak błyskawica. Na próżno Don Juan chce się wyzwolić. Czyż rzeczywiście chce? Czemuż nie odpycha tej słabej kobiety swoją mocną ręką? Czemu nie uchodzi? Czyż zbrodnia odebrała mu

¹³ *Leporello* – sługa Don Juana, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

¹⁴ *Notte e giorno faticar* (wł.: trudyć się nocą i dniem) – aria Leporella, wstęp do aktu pierwszego Don Juana. [przypis edytorski]

¹⁵ *Dona Anna* – córka Komandora, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

¹⁶ *ogień grecki* – łatwopalna mieszanina, nie dająca się ugasić wodą. [przypis edytorski]

siłę, albo może walka miłości i nienawiści pozbawiła go mocy postanowienia?

Stary ojciec¹⁷ życiem zapłacił za swe szaleństwo, że chciał po ciemku walczyć z tym strasznym nieprzyjacielem. Don Juan i Leporello występują naprzód i tu na pierwszym planie sceny rozmawiają. Don Juan odrzuca płaszcz i ukazuje się we wspaniałym kostiumie z aksamitu haftowanego srebrem, szlachetną ma postawę, męskie oblicze, oczy przenikające, wargi miękko zarysowane. Ruch brwi nadaje chwilami jego fizjonomii wyraz diabelski, budzący mimowolną trwogę, choć nie narusza piękności jego rysów. Rzekłbyś wywierać musi czarodziejskie złowrogie zachwycenie, tak, że kobiety, na które patrzy, nie mogą się od niego oddalić i muszą ulec tej sile tajemniczej, co je prowadzi ku przepaści.

Długi i chudy, przybrany suknią w pasy białe i czerwone i małym płaszczem czerwonym, w kapeluszu białym z czerwonym piórem na głowie, Leporello krąży dokoła swego pana. W twarzy jego widać osobliwą mieszaninę poczciwości, podstęp, ironii i zuchwalstwa. Znać, że ten stary łotr godzien być usłużnym pokojowcem Don Juana. Szczęśliwie uszli, przeskoczywszy mury... Pochodnie... Ukazuje się Dona Anna i Don Octavio¹⁸; ten ostatni mały człowieczek, wystrojony,

¹⁷ *stary ojciec* – Komandor, ojciec Dony Anny, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

¹⁸ *Don Octavio* – narzeczony Dony Anny, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

wycackany, lalkowaty, najwyżej dwadzieścia i jeden lat liczący. I jako narzeczony Anny, mieszkał zapewne w jej domu, aby mógł być tak szybko wezwany. Na pierwszą usłyszaną wrzawę mógł być pośpieszyć i może ojca uratować; ale musiał przedtem przystroić się i w odpowiedniej wystąpić toalecie, a zresztą nie lubi zapędzać się w ciemności: *ma qual mai s'offre, o Dei, spetta colo funesto agli occhi miei!* W rozdzierających tonach tego okropnego duetu i recytatywu¹⁹ – jest więcej niż rozpacz. Nie tylko zamach Don Juana, nie tylko śmierć starca – mogą wywołać takie akcenty: raczej jakaś walka wewnętrzna, walka przerażająca.

Wysoka i szczupła Dona Elwira²⁰, która jeszcze ma na twarzy ślady nadzwyczajnej piękności, ale piękności nieco zwiędłej, skarży się na przewrotnego Don Juana, a złośliwy Leporello bardzo słusznie zaznacza, że ona mówi jakby z książki: *Parla come un libro stampato.*

W tej chwili zdawało mi się, że usłyszałem kogoś poza sobą. Z łatwością można było otworzyć drzwi w głębi i wślizgnąć się do łoży. Było to dla mnie przykre odkrycie. Czułem się tak szczęśliwy, będąc w łoży sam jeden, rozkoszując się bez podziału arcy-operą Mozarta, oddając się w całości swoim wrażeniom: jedno słowo, wulgarne słowo rozproszyłoby boleśnie

¹⁹ recytatyw (muz.) – melodeklamacja na tle muzycznym, element opery. [przypis edytorski]

²⁰ *Dona Elwira* – porzucona kochanka Don Juana, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

cały mój entuzjazm poetyczny i muzyczny, jakiego doznawałem. Postanowiłem nie zwracać najmniejszej uwagi na mego sąsiada, unikać wszelkiego słowa, wszelkiego spojrzenia i pogрузić się w czarach tego przedstawienia. Wsparłszy głowę na dłoni, tyłem odwrócony do przybysza, spoglądałem dalej: sztuka się rozwijała w pełnym *ensemble*'u²¹. Mała Zerlina²², figlarna i rozkochana, pocieszała czarownicami pieśniami biednego, naiwnego Mazetta²³. Don Juan wypowiedział pomieszanie swej duszy oraz pogardę, jaką czuł dla bliźnich, którzy byli dla niego jedynie przedmiotem jego przyjemności, i żywo akcentował tę dziką melodię: *Fin ch'han dal vino*²⁴. Gra mięśni była żwawsza. Ukazały się maski. Ich *trio* była to modlitwa, w akordach unosząca się ku niebu. Po czym oto głąb teatru się otwiera, radość rozbrzmiewa, kielichy dzwonią jedne o drugie; wieśniacy i zamaskowani różnego rodzaju krążą wesoło, ściągnięci festynem Don Juana; po czym trzej zamaskowani, którzy zaprzysięgli zemstę, zbliżają się powoli. Wszystko przybiera charakter uroczysty, aż zaczynają się tańce. Zerlina jest ocalona, a Don Juan idzie śmiało, z mieczem obnażonym, przeciw wrogom. Wytrąca miecz z ręki

²¹ *ensemble* (fr.) – daw. scena zbiorowa w sztuce teatralnej a. w operze. [przypis edytorski]

²² *Zerlina* – panna młoda, narzeczona Mazetta, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

²³ *Mazetto* – pan młody, narzeczony Zerliny, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

²⁴ *Fin ch'han dal vino* (wł. "póki od wina") – aria Don Juana z końca I aktu, nazywana arią szampańską. [przypis edytorski]

swego rywala i przebija sobie drogę poprzez tłum przerażony i beładny.

Kilkakrotnie już czułem poza sobą czysty i gorący oddech; słyszałem, zda się, szelest sukni jedwabnej. Sądziłem, że jest tu jakaś kobieta; ale cały pogrążony w świecie poetyckim, nie chciałem żadnych roztargnień. Gdy zasłona opadła, obróciłem się ku mojej sąsiadce...

Nie, żadne słowo nie wypowie mego zdumienia: ujrzałem Donę Annę, odzianą tak, jak właśnie widziałem ją na scenie. Spoglądała na mnie wzrokiem płomiennym i pełnym wyrazu. Oniemiałem, patrząc na nią – a na twarzy jej błądził lekki, ironiczny uśmiech, w którym rzekłbyś odbijała się moja głupia fizjonomia. Czułem konieczność przemówienia paru słów, ale zdziwienie albo, lepiej mówiąc, przestрах paraliżował mi język. Wreszcie, niejako mimo woli, szepnąłem:

– Pani tu? Czy to możliwe?

Odpowiedziała mi najczystszym językiem tokańskim tak, że gdybym nie mówił po włosku, to nie mogłaby rozmawiać ze mną, gdyż jedynie ten język rozumiała. Słowa jej brzmiały jak śpiew harmonijny, spojrzenia jej były coraz wymowniejsze, a błyskawica lśniąca spoza jej długich rzęs zapaliła w moim sercu nagły ogień i wywołała żywsze bicie wszystkich moich żył. Była to – niewątpliwie Dona Anna we własnej osobie. Nie uderzała mnie zupełnie kwestia, jakim sposobem mogła ona być jednocześnie na scenie i w mojej łoży. Podobnie jak szczęśliwe marzenie łączy największe niemożliwości, i jak gorąca wiara

wnosi się do krain nadprzyrodzonych i panuje nad codziennymi zdarzeniami życia: tak właśnie wobec tej kobiety znajdowałem się w stanie półlunatyizmu, iż gdybym ją w tej samej chwili zobaczył na scenie, nie byłbym tym wcale zdziwiony. Jakże opowiedzieć moją rozmowę z Doną Anną? Gdybym chciał ją wyłożyć, to każde słowo zdawałoby mi się bladym i zimnym, a każde zdanie zbyt brutalnym dla wyrażenia wdzięku i lekkości narzecza toskańskiego.

Gdy mówiła mi o swej roli i o Don Juanie, zdawało mi się, że genialność tego arcydzieła objawiła mi się po raz pierwszy i że po raz pierwszy przeniknąłem do cudownych dziedzin jakiegoś obcego świata. Mówiła mi, że muzyka jest całym jej życiem i że nieraz, śpiewając, czuła w sobie przebudzenie jakichś wzruszeń nieznanych, których żadne słowo nie byłoby w stanie odmalować.

– Tak – zawołała głosem pełnym entuzjazmu i z okiem pełnym błyskawic – rozumiem wtedy wszystko; ale wszystko jest zimne i bezduszne dokoła mnie, i gdy mi biją oklaski za jakąś trudną ruladę²⁵, zdaje mi się, że ręce żelazne ściskają mi gorejące serce. Ale ty, ty mnie rozumiesz, bo ja wiem, że przed tobą otwarte jest owo królestwo cudowne, ów świat romantyczny, gdzie dzwonią czarodziejskie harmonie.

– Jak to, zachwycająca kobieto, ty mnie znasz?

Zaczęła mówić o jednej z moich oper i wymieniła moje nazwisko. Dał się słyszeć dzwonek teatralny. Bładość nagła

²⁵ *rulada* (fr. *roulade*: toczenie się; koloratura) – energiczny pasaż w muzyce wokalne. [przypis edytorski]

pokryła twarz Dony Anny. Położyła rękę na sercu, jakby odczuła ból niespodziany i osłabionym głosem szeptała:

– Nieszczęsna Anno, oto chwila najokropniejsza! – Rzekłszy te słowa, zniknęła.

Pierwszy akt mnie zachwycił; ale po tym dziwnym zjawieniu, muzyka wywarła na mnie wpływ niewypowiedziany. Było to niby długo oczekiwane urzeczywistnienie moich najpiękniejszych marzeń, jakby wszystkie przeczucia mojej duszy otworzyły się w harmonijnych akordach. W scenie Dony Anny czułem się niemal uniesiony w gorącą atmosferę rozkoszy; oczy zamknąłem mimo woli i czułem na ustach wrażenie płomiennego pocałunku; ale pocałunek był szybki i leciuchny jak dźwięk melodyjny.

Słyszę, jak brzmi wesoło bezładny finał: *Già la mensa è preparata!* Don Juan, siedząc pomiędzy dwojgiem dziewcząt, zaleca się już do jednej, już do drugiej i żywo wyciąga pękające korki z butelek, by wyzwolić duchy ogniste, zamknięte w kryształach. Było to w ciasnym pokoju, w którego głębi, poprzez wielkie okno gotyckie, dostrzegając cienie nocy. Gdy Elwira przypominała niewiernemu wszystkie jego przysięgi – naraz zaślnęła krwawa błyskawica i słychać było głucho ryczenie, zapowiadające burzę, co lada chwila ma wybuchnąć. Wreszcie, pukają do drzwi gwałtownie; Elwira i dziewczęta uciekają i wśród przeraźliwej symfonii duchów podziemnych kolos marmurowy zbliża się i staje oko w oko z Don Juanem, który przy nim wygląda wprost niby karzeł. Ziemia drży pod

stopami olbrzyma.

Wśród huku burzy, wśród błysku piorunów i krzyku demonów, Don Juan wymawia swe straszliwe imię. Godzina fatalna uderzyła; posąg znika; gęsta para zalewa salę; z tej pary wychodzą straszliwe postaci. Widać tylko od czasu do czasu, jak Don Juan walczy z szatanami.

Naraz słyhać huk wybuchu; Don Juan oraz duchy piekielne znikły nie wiadomo jak; Leporello bez przytomności leży w kącie sali. Jakże miło wówczas widzieć inne osoby, szukające na próżno Don Juana! Zdaje się, że ci ludzie ocaleli od pościgu straszliwej sfory demonów. Dona Anna znów się ukazała; ale jakże zmieniona! Śmiertelna bladość pokrywa jej twarz, oczy zagasty, głos jej drży, nierówny z trwogi i wzruszenia; ale tym bardziej zachwycający był efekt jej małego duetu z miłym narzeczonym, który chce natychmiast odprawić gody weselne, szczęśliwy, że został wyzwolony od groźnego obowiązku zemsty.

Chór doskonale zakończył dzieło. Pobiegłem, by ukryć w swym pokoju zachwyty i uniesienie, wywołane sztuką. Służący wezwał mnie na kolację; poszedłem za nim machinalnie. Towarzystwo było liczne, a przedstawienie *Don Juana* zajmowało wszystkich. Wszyscy jednogłośnie chwalili śpiew Włochów oraz ich umiejętność gry. Ale kilka drobnych uwag, rzuconych tu i ówdzie ze złośliwą miną, dowiodły mi, że nikt nie rozumiał i nie podejrzewał głębokiej treści tego arcydzieła operowego. Don Octavio podobał się bardzo, Dona Anna zdawała się nieco zbyt namiętą. „Należało – mówił jeden

z gości – umieć się miarkować na scenie i nie wyrażać wzruszeń zbyt gwałtownie”. Czyniąc tę uwagę, krytyk wciągnął w nos niuch tabaki i z miną inteligentną i zadowoloną spojrzął na swego sąsiada, który oświadczył, że zresztą Włoszka była śliczną kobietą, tylko bardzo niedbałą co do toalety, gdyż w czasie najważniejszej sceny pukiel włosów osunął się jej na twarz. Inny zaczął po cichu nucić *Fin ch'han dal vino*, a pewna dama twierdziła, że Don Juan sam nie był zadowolający; zdawał się jej zbyt ponury i nie umiał nadać sobie miny lekkiej i filuternej. Zresztą chwalono bardzo wybuch ostateczny.

Znużony tą gadaniną, uciekłem do swego pokoju.

W łoży cudzoziemców Nr. 23

Ciasno mi tu było i niesłychanie gorąco. O północy zdało mi się, jakby ktoś poza drzwiczkami z obiciem wymawiał moje imię. „Któż mi przeszkadza – mówiłem – raz jeszcze odwiedzić miejsce, w którym mi się zdarzyła ta szczególna przygoda? Może zobaczę raz jeszcze tę, co zajmuje moje myśli. Łatwo mi zanieść tam stolik, dwa świeczniki, przyrząd do pisania. Posługacz przyniósł mi zażądany przeze mnie poncz²⁶. Znajduję pokój pusty, drzwi tajne otwarte; idzie za mną do łoży i rzuca na mnie dwuznaczne spojrzenie. Milcząco daję mu znak, chłopiec stawia poncz na stole i oddala się, patrząc jeszcze na mnie, z zapytaniem na ustach. Opieram się o brzeg łoży i oglądam tę pustą salę, której architektura, oświetlona bardzo słabo światłem moich dwóch pochodni, odbija się w dziwacznych refleksach i fantastycznych cieniach. Wiatr porusza zasłonę na scenie. O, gdyby się podniosła – mówię do siebie – gdyby mi Dona Anna ukazała się raz jeszcze w straszliwym wzburzeniu! *Dono Anno!* ... Krzyk mój przepada w zagłębieniach sali; ale budzi instrumenty w orkiestrze; niewyraźny dźwięk z nich wybiega; zdaje mi się, że słyszę to drogie imię wyszeptane w mroku. Nie mogę się obronić jakiejś tajemniczej trwodze; ale wywiera ona na mnie bardzo miłe wrażenie.

Opanowuję się w końcu, i oto, drogi Teodorze, skłonny

²⁶ *poncz* – słodki napój z soku owocowego, wody i alkoholu. [przypis edytorski]

jestem wykazać ci przynajmniej to, co przypuszczam, że ujmuję w arcydziele mistrza i jego głębokiej koncepcji. Tylko poeta rozumie poetę; tylko dusza idealna przenika idealną naturę; duch poetycki, który poświęcony został w świątyni, sam tylko zrozumie tony entuzjazmu. Jeżeli rozważać będziemy poemat o Don Juanie, nie szukając w nim głębszego znaczenia; jeżeli baczmy tylko na romans, będący jego motywem: to zaledwie można pojąć, jak Mozart mógł wymarzyć i skomponować podobną muzykę.

Hulaka, który nadmiernie lubi wino i dziewczęta, który umyślnie zaprasza do swego stołu kamienny posąg starca, zabitego przez siebie w obronie własnego życia: istotnie, nie ma w tym nic bardzo poetycznego, i szczerze mówiąc, taki człowiek wcale nie zasługuje na to, żeby potęgi piekielne trudziły się i szukały go w czasie pijaństwa; nie zasługuje na to, aby posąg kamienny nabrał życia i ruchu, aby zszedł z konia i wzywał grzesznika do pokuty i aby diabeł spędzał swoje najlepsze służby dla przeniesienia go na tamten świat.

Możesz mi wierzyć, Teodorze, natura traktowała Don Juana, jako jedno ze swych dzieci uprzywilejowanych; dała mu wszystko, co podnosi człowieka ponad tłum, ponad trudy, ponad bezmyślne obliczenia, i postawiła go w pobliżu esencji bożej; przeznaczyła go do zwycięstw i panowania; dała mu postawę silną i majestatyczną, twarz ożywiła mu iskrą niebieskiego ognia, dała mu duszę głęboką, inteligencję żywą i sprężystą. Ale jest to jeden z wyników grzechu pierworodnego, że szatan

zachowuje moc łudzenia człowieka za pomocą wysiłków, jakie ten czyni, by osiągnąć nieskończoność; by mu zastawić fatalne zasadzki w samym jego poczuciu swej natury boskiej. Ta walka pierwiastka niebieskiego i pierwiastka boskiego budzi namiętność ziemską, i właśnie zwycięstwo w tej walce prowadzi do życia nadprzyrodzonego. Organizacja fizyczna i moralna Don Juana rozpałała jego ambicję, a żądza nienasycona, wywołana żarem jego krwi, popchnęła go ku poszukiwaniu wszelkich rozkoszy przemijających, w których na próżno oczekiwał całkowitego zaspokojenia.

Nic na świecie nie doprowadza człowieka do takiej egzaltacji jak miłość. Miłość to – przez tajemniczy a potężny wpływ – oświeca i wzburza pierwiastki naszej natury. Czyż może to dziwić, że Don Juan roił sobie, że mógłby za pomocą miłości zaspokoić poruszające nim pożądaniami, i że diabeł użył tego środka, by go pociągnąć w swe sieci? On to Don Juanowi podsunął myśl, że przez miłość, przez rozkosz pocałunków kobiecych, znajdzie człowiek tu na ziemi urzeczywistnienie obietnic niebieskich, jakie nosimy w swej duszy, i osiągnie cel tej tęsknoty nieskończonej, co łączy nas bezpośrednio z krainami wyższymi. Nieustannie przelatując od piękności do piękności, rozkoszując się ich czarem aż do upojenia i do przesytu; sądząc się zawsze omylonym w swym wyborze i zawsze spodziewając się, że dosięgnie ideału szczęścia – Don Juan w końcu musiał się czuć znużony życiem rzeczywistym, a ponieważ gardził ludźmi, rozgniewał się wreszcie przeciw wszystkim tym widziadłom,

które wywoływał, a których stał się w końcu pustą igraszka. Każda kobieta, jaką posiadał, nie była już dla niego przedmiotem rozkoszy zmysłowej, ale bezwzględna obelgą dla natury ludzkiej i dla jej stwórcy. Gorzka pogarda zwyczajnych sposobów rozumienia życia, ponad które czuł się wyniesiony, szyderstwo, jakie budziło w nim szczęście w pojmowaniu mieszczańskim, doprowadziły go do tego, że stworzył sobie okrutną zabawę kosztem słodkich a łzawych stworzeń i że zabierał sobie bez litości wszystko, z czego szydził. Za każdym razem, gdy łamał przemocą szczęście dwojga kochanków, odnosił wielki triumf nad tą potęgą nieprzyjazną, co go unosiła poza ciasne granice życia zwykłego, nad naturą i jej stwórcy. Chciał dalej jeszcze się przedrzeć poza te granice i tym razem musiał runąć w otchłań. Porwanie Dony Anny, w okolicznościach, które się z nim wiązały, było najwyższą próbą, jaką podjął.

Dona Anna, dzięki najświetniejszemu darom swej natury, stoi jako przeciwieństwo wobec Don Juana. Jak Don Juan jest pierwotnie człowiekiem piękności i siły cudownej, tak Dona Anna jest kobietą boską, której czysta dusza wymyka się spod potęgi diabła. Demony mogły dotknąć jedynie jego życia ziemskiego i gdy jego zagłada jest już dokonana, zemsta niebios ma się dopełnić.

Don Juan szyderczo wzywa na swą wesołą ucztę starca, którego zamordował, i starzec nie gardzi wezwaniem, przybywa do niego zza świata, przypominając mu obowiązek pokuty. Ale już serce Don Juana jest tak zatracone, że błogosławieństwo

niebios nie może mu dać promienia nadziei ani uczucia lepszego żywota.

Jak ci już mówiłem, Dona Anna postawiona jest jako przeciwieństwo wobec Don Juana. Przeznaczeniem jej było otworzyć oczy Don Juana, aby poznał potęgę natury boskiej i wyrwać go z rozpaczki bezowocnych wysiłków. Ujrzał ją za późno, ujrzał ją w godzinie zbrodni, i ma tylko jedną wobec niej diabelską myśl jej zguby. Lecz i ona się załamuje. Kiedy on się zjawił, zbrodnia zostaje dokonana; Anna odczuła w sercu ogień zmysłowości, żary piekła i wszelki opór był dla niej niemożliwy. Don Juan sam mógł w niej obudzić ten szal rozkoszy, z jakim ona rzuca się w jego objęcia i ulega zasadzkom demonów. Gdy zaś on odchodzi, ona odczuwa wszystkie zgryzoty swego upadku. Śmierć ojca zabitego przez Don Juana; związek jej z zimnym i pospolitym Don Octaviem, którego sądziła, że kocha; ogień namiętności, co ją pożera, potem wybuch gwałtowny nienawiści: wszystko to się łączy ku jej udręczeniu. Rozumie ona, że tylko strata Don Juana może jej dać jakiś spokój; ale dla niej ten spokój to będzie śmierć. Pobudza wciąż swego niezdarnego narzeczonego do zemsty; sama ściga niewiernego, a gdy widzi, że go uniosły moce piekielne, nabiera nieco spokoju; nie może tylko ustąpić niecierpliwemu pożądaniu swego małżonka; mówi mu: *Lascia, o caro, un anno ancora, allo sfogo del cor mio!* Nie przeżyje tego roku. Nigdy Don Octavio nie przycisnie do łona tej, którą pobożna myśl wybawiła ze szponów szatana.

Ach, jak żywo czułem w głębi duszy wszystkie wzruszenia,

płynące z rozdzierających akordów pierwszego recytatywu i z opowieści o nocnej napaści. Nawet scena Dony Anny w drugim akcie: *Crudele*²⁷, która, powierzchownie sądząc, dotyczy jeno Octavia, przedstawia w tajemniczych akordach, w cudownych wybuchach całe wstrząśnienie jej duszy. Co za myśl porywająca w tych słowach, które napisał poeta, może sam nie rozumiejąc ich wagi:

forse un giorno ancora sentirà pietà di me!

Bije godzina druga po północy, jakiś podmuch elektryczny ślizga się po mnie; czuję zapach perfum włoskich, które mi wczoraj kazały rozpoznać obecność mojej sąsiadki. Doznaję uczucia szczęśliwości, którą mógłbym wyrazić tylko za pomocą dźwięków harmonijnych. Wiatr mocniej szumi w sali, struny fortepianu w orkiestrze szemrzą. Boże, zdaje mi się, że słyszę głos Anny, unoszony na skrzydłach jakiejś orkiestry powietrznej. Zdaje mi się, że słyszę: *Non mi dir', bell' idol mio*²⁸! Otwórz się, kraino daleka i nieznana, królestwo dusz, raj u świateł, gdzie boleść niebiańska a niewymowna, niby radość nieskończona, spełnia oczarowanym sercem wszystkie obietnice tego świata! Pozwól mi wejść w kolisko twoich podniosłych zjawień! Oby sny, które człowiekowi posyłasz, już to jako przedmioty zgrozy, już to jako gońców pokoju, obyż te sny poprowadziły mego ducha ku regionom eterycznym, gdy sen ciało me trzyma na uwieży

²⁷ *crudele* (wł.) – okrutny. [przypis edytorski]

²⁸ *Non mi dir', bell' idol mio* – recitativo accompagnato, akt drugi Don Juana. [przypis edytorski]

łańcuchów z ołowiu.

Nazajutrz rozmowa przy stole

Człowiek rozsądny, uderzając w wieko swej tabakiery: Szkoda jednak, że teraz już długo nie usłyszymy opery dobrze wykonanej. Płynie to z tej fatalnej przesady.

Człowiek o twarzy Mulata: Tak, tak, mówiłem to nieraz. Rola Dony Anny zbyt żywo ją wczoraj przejmowała; była niby opętana. Przez cały antrakt²⁹ leżała bez przytomności, a w scenie drugiego aktu miała atak nerwowy.

Jegomość bez znaczenia: Ach, co pan mówi!

Człowiek o twarzy Mulata: Ależ tak! Atak nerwowy – i nie można jej było wynieść z teatru.

Ja: Na łaskę Nieba! Sądzę, że te ataki nie są niebezpieczne. Toć usłyszymy znów Signore?

Człowiek rozsądny, zażywając tabakę: Trudno to będzie, gdyż Signora umarła tej nocy, ściśle o godzinie drugiej.

²⁹ *antrakt* – przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

Kawaler Gluck ³⁰

Wspomnienie z roku 1809

Schyłek jesieni w Berlinie ma zazwyczaj jeszcze kilka pięknych dni. Słońce przyjaźnie wypływa z obłoków i szybko w parę przetwarza wilgoć w półciepłym powietrzu, wiejącym przez ulice. Wtedy widzimy długi szereg pstro przemieszanych elegantów, mieszczan, duchownych, Żydówek, referendarzy³¹, gryzetek³², profesorów, modniarek³³, tancerzy, oficerów itd. w Alei pod Lipami: wszyscy mniej więcej dążą do Ogrodu Zoologicznego³⁴. Wkrótce też wszystkie miejsca u Klause i Webera są zajęte; kawa z cykorią paruje; eleganci kurzą swe *cigarros*, ludzie gadają, spory prowadzą o wojnę i pokój, o trzewiki panny Bethman, czy były szare, czy zielone, rozważają sprawę protekcyjnej granicy handlu w państwie, braku gotówki itd., aż w końcu wszystko się splywa w arii

³⁰ *Christoph Willibald Ritter von Gluck* (1714–1787) – niemiecki kompozytor okresu klasycyzmu. [przypis edytorski]

³¹ *referendarz* (daw.) – urzędnik średniej rangi. [przypis edytorski]

³² *gryzетка* (daw.) – młoda pracownica domu mody. [przypis edytorski]

³³ *modniarka* – osoba wyrabiająca damskie kapelusze. [przypis edytorski]

³⁴ *Ogród Zoologiczny* – tu: Tiergarten, park w śródmieściu Berlina. [przypis edytorski]

z *Fanchon*, przy tym rozstrojona harfa, nienastrojone skrzypce, suchotniczy flet i spazmatyczny fagot rozżalają się nad sobą i nad słuchaczami. Tuż u parkanu, oddzielającego kawiarnię Webera od ul. Wojskowej, stoją liczne okrągłe stoliki i krzesła ogrodowe; tu oddychasz świeżym powietrzem, tu obserwujesz, kto wchodzi i kto wychodzi, tu jesteś daleko od kakofonicznego jęku przekłętej orkiestry; tu ja siaduję zazwyczaj, oddając się swawolnemu igrzysku swej fantazji, co mi sprowadza oblicza miłych ludzi, z którymi rozmawiam o nauce, o sztuce, o tym wszystkim, co dla ludzi powinno być najdroższe. Coraz jaskrawiej toczy się przede mną tłum spacerujących, ale nic mnie nie wytrąca z równowagi, nic nie rozpędzi mego fantastycznego towarzystwa. Tylko jakieś przekłęte trio nikkzemnego walca wydziera mnie z krainy marzeń: słyszę jedynie skrzeczący głos górny wiolinu i fletu i grzechotliwy bas fagotu; razem unoszą się i opadają, zatrzymując się na rozzgrzytanych oktavach i mimo woli, jak ktoś opanowany gorącym bólem, wołam:

– Ach, co za straszna muzyka! Co za wstrętne oktawy!

Okolo siebie słyszę szept:

– Przeklęty los! Znów jakiś pogromca oktaw!

Spoglądam i dopiero teraz widzę, że, niedostrzeżony przeze mnie, przy tym samym stole zajął miejsce człowiek, który nieruchomym wzrokiem patrzy na mnie i od którego oko moje teraz już się oderwać nie może.

Nigdy nie widziałem głowy, nigdy nie widziałem postaci, co by tak nagle uczyniła na mnie tak głębokie wrażenie.

Łagodnie zgięty nos opierał się o szerokie, otwarte czoło, z wyraźnymi wypukłościami nad krzaczastą, półsiwą brwią; oczy jego błyszczały prawie dzikim, młodzieńczym ogniem (człowiek mógł mieć ponad pięćdziesiąt lat). Miętko sformowana broda była w osobliwym przeciwieństwie z zamkniętymi ustami, a przelotny uśmiech, wywołany szczególną grą mięśni w zapadłych policzkach, zdawał się buntować przeciw głębokiej, melancholicznej powadze, spoczywającej na czole. Kilka jedynie siwych loków leżało z tyłu wielkich, odstających od głowy uszu. Wysoka, chuda postać nieznajomego obwinięta była szerokim nowoczesnym płaszczem. Gdy wzrok mój utkwiałem w jego osobie, opuścił twarz i dalej spełniał swoją robotę, którą mu zapewne przerwał mój okrzyk. Mianowicie z wyraźną przyjemnością z różnych małych tutek przesypywał tabakę do wielkiej tabakiery i zwilżał ją czerwonym winem z ćwierci flaszki.

Muzyka zamilkła; czułem konieczność przemówienia do niego.

– Dobrze, że już muzyka grać przestała – rzekłem – nie można było wytrzymać.

Stary rzucił na mnie szybkie spojrzenie i przesypał ostatnią tutkę.

– Byłoby lepiej, gdyby tu wcale nie grano – powiedziałem raz jeszcze. – Czy nie jest pan tego mniemania?

– Nie mam żadnego mniemania. – rzekł – Pan jest muzyk i zna swoją sztukę...

– Myli się pan; nie jestem ani tym, ani owym. Uczyłem się niegdyś gry na fortepianie i jenerałbasie³⁵, jako rzeczy należącej do dobrego wychowania, a ponieważ między innymi mówiono mi, że nic tak złego nie daje efektu, jak kiedy bas z głosem górnym idzie naprzód w oktawy: przyjąłem tę opinię niegdyś ze słów autorytetów i nieraz później stwierdziłem jej prawdę.

– Istotnie? – powiedział mi, po czym wstał i powoli w zamyśleniu ruszył do muzykantów, często podnosząc wzrok ku górze i uderzając się w czoło dłonią, niby ktoś, co chciałby sobie w myśli obudzić pewne przypomnienie. Widziałem, jak rozmawiał z muzykantami, traktując ich rzekłbyś z rozkazodawczą godnością. Powrócił – i zaledwie usiadł, zaczęto grać uwerturę³⁶ z *Ifigenii w Aulidzie*³⁷ Glucka.

Oczy przymrużył, ręce złożywszy na krzyż, oparł je o stół – i słuchał *andante*³⁸; lewą nogę lekko poruszając, oznaczał zmiany głosów; teraz podniósł głowę – szybko potoczył wzrokiem dokoła – lewa ręka, której palce rozstawił szeroko, spoczywała na stole, jakby chwytając akord w locie; prawą – podniósł

³⁵ *jenerałbas*, dziś *generałbas* (muz.) – *basso continuo*; tu: instrument grający akompaniament w niskiej tonacji. [przypis edytorski]

³⁶ *uwertura* (muz., fr. *ouverture*: otwarcie) – instrumentalny utwór rozpoczynający operę lub koncert. [przypis edytorski]

³⁷ *Ifigenia w Aulidzie* – opera Christopa Willibalda Glucka, o libretcie inspirowanym tragedią Eurypidesa w V w. p.n.e. [przypis edytorski]

³⁸ *andante* (muz., wł.: idąc) – tempo wykonania utworu muzycznego: z prędkością spokojnego kroku. [przypis edytorski]

do góry; był to jakby kapelmistrz³⁹, który orkiestrze wskazuje moment innego tempa – prawa ręka opada i zaczyna się *allegro*⁴⁰. Płomiennie czerwone stały się jego blade policzki; brwi schodzą się razem na pomarszczonym czole, wewnętrzny gniew rozpala dzikie spojrzenie ogniem, którym coraz bardziej rozprasza się uśmiezek, co jeszcze się unosi na półotwartych ustach. Teraz przechyla się w tył, brwi idą do góry, gra mięśni na policzku powraca, oczy błyskają, głęboki, wewnętrzny ból rozplywa się w rozkosz, co wszystkie fibry⁴¹ porywa i kurczowo nimi wstrząsa – głęboko z piersi oddycha, krople mu występują na czole; zaznacza wyjście *tutti*⁴² i inne główne miejsca; prawa ręka nieustannie takt wybija, lewą wydobywa chustkę i twarz sobie przeciera. Tak ciałem i barwą ożywił szkielet, jaki dawała z uwertury owa para skrzypiec. Słyszałem łagodną, rozrzewniającą skargę, która się wzbija z fletem, kiedy przegrzmiała burza skrzypiec i basów i zamilkł grom bębnow; słyszałem lekko uderzające tony wiolonczeli, fagotów, które przepełniają serce bezimienną tęsknotą; powraca *tutti*, jak olbrzym wielkie występuje *unisono*⁴³, głucha skarga zamiera pod

³⁹ *kapelmistrz* – dyrygent. [przypis edytorski]

⁴⁰ *allegro* (muz., wł.: radośnie) – tempo wykonywania utworu w muzyce: wesoło, żywo. [przypis edytorski]

⁴¹ *fibry* (daw.) – włókna, nerwy. [przypis edytorski]

⁴² *tutti* (muz., wł.: wszyscy) – fragment utworu, gdzie grają jednocześnie wszystkie instrumenty. [przypis edytorski]

⁴³ *unisono* (muz., wł.: jednym dźwiękiem) – moment w utworze, kiedy wszystkie instrumenty grają ten sam dźwięk. [przypis edytorski]

jego miążdżącym krokiem. Uwertura się skończyła.

Nieznajomy opuścił ręce i siedział z zamkniętymi oczami, niby ktoś, co omdlał z nadmiernego wysiłku. Butelka jego była próżna; napełniłem mu szklanę burgundem, który tymczasem kazałem przynieść. Głęboko wzdychał, rzekłbyś – ze snu się budzi. Zmusiłem go do picia; uczynił to bez ceremonii i jednym łykiem wypiwszy całą szklanę, zawołał:

– Jestem zadowolony z wykonania! Orkiestra trzymała się dzielnie.

– A jednak – powiedziałem – był to tylko słaby zarys arcydzieła wykonanego żywymi farbami. Czyż nie sądzę słusznie?

– Pan nie jest berlińczykiem.

– Istotnie. Tylko dla odmiany się tu zatrzymałem.

– Burgund jest dobry. Ale zaczyna być zimno.

– Więc chodźmy do izby i tam wychylmy flaszkę wina.

– Dobry projekt. – Nie znam pana, ale też i pan mnie nie zna. Możemy się nie pytać o nazwiska; nazwisko często jest ciężarem. Piję wino burgundzkie; nic mnie to nie kosztuje, czujemy się ze sobą przyjemnie i to jest dobrze.

Mówił to wszystko z dobrotliwą serdecznością. Weszliśmy do salonu kawiarni; usiadłszy, rozpiął płaszcz i ze zdziwieniem zauważyłem, że pod płaszczem miał na sobie haftowany surdut o długich połach, czarne aksamitne rajtuzy i małą srebrną szpadkę. Starannie znów zapiął płaszcz.

– Czemuż to pan mnie pytał, czy jestem berlińczykiem?

– Bo w takim razie musiałbym pana w tej chwili opuścić.

– To brzmi zagadkowo.

– Bynajmniej, skoro tylko panu powiem, że ja – no, że ja jestem kompozytorem.

– Wciąż jeszcze nie odgaduję znaczenia słów pańskich.

– A więc proszę mi wybaczyć mój poprzedni okrzyk. Widzę, że się pan nic nie rozumie na Berlinie i berlińczykach.

Powstał i kilkakrotnie żywo przeszedł się po pokoju tam i z powrotem; po czym się przybliżył do okna i ledwie dosłyszalnie zaczął śpiewać chór kapłanek z *Ifigenii w Taurydzie*⁴⁴, przy tym uderzał w szybę przy wyjściu *tutti*. W zdumieniu uważałem, że w pewien zgoła swoisty sposób oddawał niektóre melodie, co mnie uderzały tu siłą i nowością. Nie przeszkadzałem mu wcale; skończył i wrócił na swoje krzesło. Opanowany szczególnym zachowaniem się tego człowieka i fantastycznością objawów zewnętrznych nadzwyczajnego talentu muzycznego, milczałem. Po chwili zapytał mnie:

– Czy pan nigdy nie komponował?

– Owszem, próbowałem tej sztuki, ale wszystko, co napisałem, jak mi się roilo chwilowo, w natchnieniu, zdało mi się potem próżne i jałowe; więc zarzuciłem te próby.

– Zrobił pan niesłusznie. Bo już to, że pan próbował, jest niezgorszym świadectwem pewnego talentu. Uczymy się muzyki w latach chłopięcych, bo tak życzy sobie papa i mama;

⁴⁴ *Ifigenia w Taurydzie* – opera Christopha Willibalda Glucka. [przypis edytorski]

przeto brząka się i gędzi⁴⁵, a niedostrzeżony bywa zmysł głębszego przejęcia się melodią. Może to jakiś pół zapomniany motyw piosenki, którą inaczej śpiewano, pierwsza własna myśl, a ten embrion, z trudem ożywiany siłą cudzą, dorósł do miary olbrzyma, który wszystko dokoła siebie pochłoniął i przemienił w swój szpik i swoją krew. Ha, jakże to możliwe wyjaśnić tysiączne formy, przy pomocy których dochodzi się do kompozycji! Jest to szeroka ulica Wojskowa, tu gromadzą się wszyscy, krzyczą, wołają: „My jesteśmy poświęceni! Jesteśmy u celu!” Poprzez wrota z Kości Słoniowej przechodzi się do krainy Marzeń: niewielu dostrzega te wrota raz jeden, jeszcze mniej przestąpić je zdoła. Wszystko tu wydaje się przygodą. Szalone postaci unoszą się tu i ówdzie, ale wszystkie mają własny charakter, jedne mniej, drugie więcej. Nie widać ich na ulicy Wojskowej: tylko poza wrotami z Kości Słoniowej je znajdziesz. Trudno jest z naszych nizin wejść do tego królestwa: niby przed twierdzą Alcyny⁴⁶ potwory przecinają drogę, kłębi się tam, wiruje; niejeden przemarzy marzenie w krainie marzenia, rozplywa się w marzeniu, już tam cienia swego niejeden nie rzuca, bo gdyby nawet znalazł się w cieniu, to zawsze krąży w światłości, co przenika to królestwo; ale tylko bardzo nieliczni, z marzeń przebudzeni, unoszą się wzwyż i przepłynąwszy królestwo Marzeń, dochodzą do Prawdy;

⁴⁵ *gędzić* (daw.) – grać. [przypis edytorski]

⁴⁶ *Alcyna* – czarownica, królowa wyspy z opery Georga Friedricha Händla. [przypis edytorski]

jest to moment najwyższy: zetknięcie z tym, co Wieczyste, co Niewypowiedziane. Spójrz na słońce – to Trójdźwięk⁴⁷, z którego, niby gwiazdy, płyną akordy, by cię oprząść ognistymi nićmi. Niby poczwarka leżysz w ogniu, aż Psyche⁴⁸ się uniesie ku słońcu.

Przy ostatnich słowach podskoczył, wzrok podniósł do góry, rękę ku niebu wyteżył. Po czym siadł znowu i szybko opróżnił ofiarowaną sobie szklanke. Nastąpiła cisza, której nie śmiałem przerwać, aby nie wytrącić z linii tego niezwykłego człowieka. W końcu spokojniej zaczął mówić dalej.

– Kiedy byłem w królestwie Marzenia, dręczyły mnie tysiączne bóle i trwogi. Była noc i przerażały mnie szczerzące zęby larwy⁴⁹ potworów, które waliły się na mnie i już to mnie strącały w otchłań morza, już to unosiły wysoko w powietrze. Oto szły promienie światła poprzez noc, a te promienie były to dźwięki, które mnie ośpiewywały miłą jasnością. Przebudziłem się z bólu i ujrzałem wielkie, jasne Oko, które spoglądało w organy – a pod jego spojrzeniem z organów wydobywały się tony i migały, i obejmowały się w uroczystych akordach, jakich nigdy nie przeczuwałem. Melodie lały się strumieniem w górę i na dół, a ja płynąłem w tym strumieniu i o mało co nie utonąłem; wówczas spojrzało na mnie Oko i utrzymało

⁴⁷ *trójdźwięk* (muz.) – prosty, melodyjny akord, składający się z trzech dźwięków odległych o siebie o tercję. [przypis edytorski]

⁴⁸ *Psyche* (mit. gr.) – personifikacja duszy ludzkiej. [przypis edytorski]

⁴⁹ *larwa* (daw.) – maska, zjawa, upiór. [przypis edytorski]

mnie na powierzchni, nad spienionymi falami. Znowu nastąpiła noc – i oto wyszły ku mnie dwa kolosy w śmiertelnych pancerzach: Ton Główny⁵⁰ i Kwinta⁵¹. Porwały mnie, ale Oko się uśmiechało: wiem, co przepełnia tęsknotą twe piersi; łagodny, słodki młodzian, Tercja⁵², pod kolosami wyjdzie ku tobie, usłyszysz jego słodki głos, ujrzysz mnie znowu, a moje melodie będą twoimi.

Zatrzymał się.

– I znów widziałeś to Oko?

– Widziałem, widziałem znowu! Długie lata wzdychałem w krainie marzeń – tam – tam! Przebywałem w czarownej dolinie i przysłuchiwałem się, jak śpiewały między sobą kwiaty. Tylko słonecznik milczał i chylił zamknięty kielich ku ziemi. Niewidzialne węzły ciągnęły mnie ku niemu – podniósł głowę – kielich rozwarł – i z niego błysło mi Oko. Teraz, niby promienie, potoczyły się tony z głowy mej ku kwiatom, które chciwie je sączyły. Coraz większe stawały się liście słonecznika – promienie tryskały z jego wnętrza – otoczyły mnie dokoła – Oko, a z nim i ja – zniknęliśmy w kielichu.

Przy ostatnich słowach podskoczył i szybkim, młodzieńczym krokiem pośpiesznie wybiegł z pokoju. Na próżno czekałem na jego powrót: postanowiłem tedy wrócić do miasta.

⁵⁰ *ton główny* (muz.) – pierwszy stopień gamy. [przypis edytorski]

⁵¹ *kwinta* – interwał prosty zawarty między pięcioma kolejnymi stopniami skali muzycznej; kwinta czysta liczy siedem półtonów. [przypis edytorski]

⁵² *tercja* – interwał prosty liczący 3 lub 4 półtony. [przypis edytorski]

Byłem już w pobliżu Bramy Brandenburskiej⁵³, gdy ujrzałem nadchodzącą w mroku długą postać – i wnet rozpoznałem swego dziwaka.

– Czemuż to mnie pan tak nagle opuścił?

– Było zbyt gorąco – i już dzwonił Eufon.

– Nie rozumiem pana.

– Tym lepiej.

– Tym gorzej, gdyż chciałbym wielce rozumieć pana w całości.

– Czy pan nic nie słyszy?

– Nic.

– To już przeszło. – Idźmy dalej. W gruncie niezbyt lubię towarzystwo. Ale – pan nie jest kompozytorem – pan nie jest berlińczykiem.

– Nie mogę zrozumieć, co pan czuje przeciw berlińczykom. Tu, gdzie sztuka takiej czci doznaje i w tak wysokiej mierze jest uprawiana, dobrze czuć by się powinien człowiek pańskiego ducha artystycznego.

– Myli się pan. Ku udręce swej skazany tu jestem, jako duch wyosobniony, błądzić w próżni!

– W próżni – tu – w Berlinie?

– Tak, czuję się tu jak w próżni, gdyż żaden duch pokrewny nie wyjdzie tu na moje spotkanie. Jestem sam.

– Ależ artyści – kompozytorzy?

⁵³ *Brama Brandenburska* – zabytkowa budowla w Berlinie, jeden z charakterystycznych punktów miasta. [przypis edytorski]

– Precz z nimi! Ci krytykują, krytykują i rozcieńczają wszystko do najbardziej rozcieńczonej miary; ryją wszystko na wskroś, aby tylko jaką ubożuchną myśl znaleźć; wciąż gładząc niedorzeczności o sztuce, o zmyśle artystycznym i Bóg wie o czym – nie są zdolni nic stworzyć, i gdy im coś tak zjawi się w duchu, jakby kilka idei miało im zaświtać, wtedy z okropnej ich lodowatości poznasz, jak są dalecy od słońca: to lapońska robota.

– Sąd pański wydaje mi się zbyt surowy. W każdym razie muszą pana zadowalać wspaniałe przedstawienia w teatrze.

– Raz się przemogłem, aby znów pójść do teatru i usłyszeć operę mego młodego przyjaciela, jakże się ona zowie? – Ach, cały świat jest w tej operze! Poprzez pstry zgiełk barwnie przybranych ludzi ciągną duchy Orkusowe⁵⁴, wszystko ma tu głoś i wszechmocny dźwięk – do licha! – myślę o *Don Juanie*⁵⁵. Ale nie mogłem wytrzymać nawet uwertury, co była wykonana *prestissimo*⁵⁶, bez sensu i zrozumienia; a przecież przygotowałem się do tej sprawy modlitwą i postem, gdyż wiem, że Eufon zanadto jest od tych mas poruszany i staje się nieczysty.

– Gdybym nawet i ja przystał, że arcydzieła Mozarta⁵⁷ bywają tu wykonywane w sposób bardzo niedbały, to jednak opery

⁵⁴ *Orkus* (mit. rzym.) – demon śmierci. [przypis edytorski]

⁵⁵ *Don Juan – Don Giovanni*, opera Wolfganga Amadeusza Mozarta na podstawie sztuki Moliera *Don Juan*. [przypis edytorski]

⁵⁶ *prestissimo* (muz., wł.) – tempo w muzyce: bardzo szybko. [przypis edytorski]

⁵⁷ *Wolfgang Amadeusz Mozart* – austriacki kompozytor, żył w latach 1756–1791. [przypis edytorski]

Glucka cieszyć się mogą wcale godnym wystawieniem.

– Tak pan sądzi? – Chciałem raz słyszeć *Ifigenię w Taurydzie*. Wchodząc do teatru słyszę, że grają uwerturę *Ifigenii w Aulidzie*. Hm – sądzę, to omyłka; więc dają tę *Ifigenię*! Dziwię się bardzo, gdy oto brzmi *andante*, którym się rozpoczyna *Ifigenia w Taurydzie*, po czym następuje burza. Dwadzieścia lat dzieli jedno od drugiego. Całe wrażenie, cała gorliwie obmyślana ekspozycja tragedii przepadła! Ciche morze – burza – Grecy na ląd wyrzuceni – opera skończona. Jak to? Czy kompozytor dla igraszki napisał uwerturę, że ją, niby sztuczkę na trąby, można pakować, gdzie i jak się komu podoba?

– Przyznaję, że to nieporozumienie. Jednak – czyni się przecież wszystko, by posiadać dzieła Glucka.

– Ejże! – powiedział krótko i uśmiechał się gorzko i coraz bardziej gorzko. Nagle odszedł i nie mogłem go zatrzymać. W jednej chwili jakby zniknął i przez parę dni kolejno szukałem go w Parku Zoologicznym na próżno.

*

Minęło parę miesięcy, gdy w pewien dżdżysty, zimny wieczór – zapóźniony szedłem w oddalonej części miasta i śpieszyłem do swego domu na Friedrichstrasse⁵⁸. Musiałem przechodzić koło teatru; huczna muzyka, trąby i kotły przypominały mi,

⁵⁸ *Friedrichstrasse* – ulica w centrum Berlina. [przypis edytorski]

że właśnie grano *Armide*⁵⁹ Glucka i nawet chciałem wejść na przedstawienie, gdy naraz pobudził moją uwagę szczególny monolog tuż pod oknem, gdzie słyhać prawie każdy ton orkiestry.

– Teraz wychodzi król – grają marsza – bębnić, jeno bębnić – jest właśnie rześki – jedenaście razy musicie to dziś robić – pochód nie jest dość pochodowy – Ha, ha! – *maestoso*⁶⁰ – wleczcie się, dzieci! – Patrzcie, tam figurant ma rozplecione sznurowadło – Dobrze, po raz dwunasty – i zawsze uderzać na dominantę⁶¹ – O wszechmocne bogi, to się nigdy nie skończy – Teraz wyśpiewuje on swój komplement – Armida dziękuje z pokorą – Jeszcze raz? Oczywiście, brak jeszcze dwóch żołnierzy. – Teraz łomocze się *recitativo*⁶². – Jakiż zły duch mnie tu przypędził!

– Kłątwa jest rozwiązana – krzyknąłem. – Pójdź.

Ująłem silnie pod rękę mego dziwaka z Tiergartenu⁶³ – gdyż on to był, co gadał sam do siebie – i pociągnąłem go z sobą. Zdawał się oszołomiony i, milcząc, szedł ze mną. Byliśmy już na Friedrichstrasse, gdy naraz się zatrzymał.

– Znam cię – powiedział. – Byłeś w Tiergartenie –

⁵⁹ *Armida* – opera Christopha Willibalda Glucka z 1777 roku. [przypis edytorski]

⁶⁰ *maestoso* (muz., wł.) – tempo w muzyce: majestatycznie. [przypis edytorski]

⁶¹ *dominanta* (muz.) – piąty stopień gamy. [przypis edytorski]

⁶² *recitativo* (muz., wł.) – recytatyw, melodeklamacja na tle muzycznym, element opery. [przypis edytorski]

⁶³ *Tiergarten* – jeden z sześciu okręgów Mitte, pierwszej dzielnicy Berlina; także: park miejski w tej dzielnicy. [przypis edytorski]

rozmawialiśmy dużo, piłem wino, rozgrzałem się, potem przez dwa dni całe dźwięczał Eufon – wiele wycierpiałem – ale to już minęło.

– Ciesz się, że przypadek znów mnie z panem zetknął. Pozwól pan, że się bliżej zapoznamy. Mieszkam tu niedaleko. Gdyby pan...

– Nie mogę i nie powinienem odwiedzać nikogo.

– Nie, już mi pan nie ujdzie; idę z panem.

– A więc przejdziemy się jeszcze paręset kroków. Ale pan chciał iść do teatru.

– Chciałem usłyszeć *Armidę*, ale teraz...

– Teraz usłyszysz *Armidę*! Pójdź ze mną...

Milcząc, ruszyliśmy w górę ulicy Frydrychowskiej; gwałtownie skręcił w ulicę Poprzeczną (*Ouerstr.*) – a biegł tak szybko ulicą, że zaledwie byłem w stanie iść za nim: aż na koniec zatrzymał się przed jakimś niepozornym domkiem. Dość długo pukał, aż mu wreszcie otworzono. Po omacku stąpając, dostaliśmy się na górne piętro do izby, której drzwi mój przewodnik zamknął bardzo starannie. Słyszałem, jak się otwarły jeszcze jedne drzwi; wkrótce wszedł do drugiego pokoju z zapalonym światłem i widok osobliwie wystafiowanego mieszkania zdziwił mnie niemało. Staromodne, bogato przyozdobione krzesła; zegar ścienny w złoczonej szafie i szerokie ciężkie zwierciadło nadawały wszystkiemu posępny wygląd zamierzchłego zbytku. Pośrodku stał mały fortepian, na nim wielki porcelanowy kałamarz, tuż

zaś obok kilka arkuszy papieru liniowanego do pisania nut. Blizsze wejrzenie na te narzędzia kompozytorskie przekonało mnie jednak, że od dłuższego już czasu chyba nic tu nie pisano; papier był zupełnie pożółkły – a gęsta pajęczyna osnuła kałamarz. Nieznajomy podszedł do szafy w kącie pokoju, której dotąd nie zauważyłem, a gdy odchylił zasłonę, ujrzałem szereg pięknie oprawionych ksiąg ze złotymi napisami: *Orfeo*⁶⁴, *Armida*, *Alcesta*⁶⁵, *Ifigenia* itd., słowem wszystkie arcydzieła Glucka.

– Pan posiada wszystkie utwory Glucka? – zawołałem.

Nie odpowiedział nic, ale usta jego skurczyły się w spazmatyczny uśmiech, a gra mięśni w zapadłych policzkach w jednej chwili przeżarła twarz w okropną maskę. Odrętwiały skierował na mnie posępne wejrzenie, ujął jeden z tomów – była to *Armida* – i uroczyście ruszył w stronę klawikordu⁶⁶. Szybko to otworzyłem i rozwinąłem spleciony pulpit; z przyjemnością patrzył na moją gorliwość. Otworzył księgę i, któż wyrazi moje zdumienie! ujrzałem poliniowane stronice, ale nie zapisane ani jedną nutą.

Zaczął:

– Teraz zagram uwerturę. Odwracaj stronice, tylko w czasie właściwym.

⁶⁴ *Orfeo* – *Orfeusz i Eurydyka*, opera Christopha Willibalda Glucka z 1762 roku. [przypis edytorski]

⁶⁵ *Alcesta* – opera Christopha Willibalda Glucka z 1767 roku. [przypis edytorski]

⁶⁶ *klawikord* – klawiszowy instrument strunowy. [przypis edytorski]

Zapowiedziałem, że to zrobię – i oto nieznajomy grać zaczął wspaniale i po mistrzowsku, w pełnych akordach, majestatyczne *tempo di marcia*⁶⁷, którym się zaczyna uwertura, prawie zupełnie zgodnie z oryginałem; ale znów *Allegro* było tylko przeplecione głównymi pomysłami Glucka. Tyle nowych genialnych odmianek tu wtrącił, że moje zdumienie rosło nieustannie. Uderzające były zwłaszcza jego modulacje, niezbyt przy tym jaskrawe – i umiał prostą myśl główną przybrać w szereg tak melodyjnych melizmatów⁶⁸, że te w coraz nowszym, odmłodzonym powracały kształcie. Twarz mu promieniała; już to ścigały mu się brwi i długo powstrzymywany gniew, rzekłbyś, pragnął gwałtownie wybuchnąć; już to oko mu się rozplýwało we łzach tęsknoty. Chwilami, gdy ręce wykonywały kunsztowne melizmaty, nucił temat przyjemnym głosem tenorowym; to znowu w zupełnie osobliwy sposób umiał naśladować głosem głuchy ton uderzeń bębna. Gorliwie odwracałem stronice, śledząc wskazania jego spojrzeń. Uwertura była skończona i, znużony, z zamkniętym okiem, padł znowu na fotel. Wkrótce jednak porwał się znów przebudzony i żywo odwróciwszy liczne puste arkusze księgi, rzekł posępnym głosem:

– Wszystko to, mój panie, napisałem, gdym wyszedł z krainy marzeń. Ale zdradziłem rzeczy święte nieświętym i lodowata ręka przeniknęła w to gorejące serce. Serce mimo to nie pękło

⁶⁷ *tempo di marcia* (muz., wł) – w tempie marsza. [przypis edytorski]

⁶⁸ *melizmat* – figura muzyczna, polegająca na graniu lub śpiewaniu kilku nut na jednej sylabie tekstu. [przypis edytorski]

i byłem skazany błędzić wśród nieświętych, jako duch umarły, bezkształtny, aby mnie nikt nie rozpoznał, aż mnie w końcu słońceznów ku Wiekuistemu uniesie! Ha, teraz zagrajmy scenę *Armidy*.

Teraz zagrał scenę ostatnią *Armidy* z wyrazem, co mnie przeniknął do rdzenia. I tu wyraźnie odchylił się od właściwego oryginału: ale ta wariacja muzyczna była tożsama scena Glucka niby podniesiona do najwyższej potęgi. Wszystko, co nienawiść, miłość, zwątpienie, szął może wyrazić w najsilniejszych rysach, z mocą wielką ujął w tony. Głos jego zdawał się głosem młodzieńca, który z głębokiej smętnicy wydobył się do wyżyn przenikającej mocy. Wszystkie moje fibry drżały, utraciłem władzę nad sobą. Gdy skończył, rzuciłem mu się w ramiona i głosem ściśniętym pytam:

– Co to? Kto ty jesteś?

Powstał i mierzył we mnie poważnym, przenikającym wzrokiem; gdy jednak znów go chciałem pytać, nagle wraz ze światłem umknął przez drzwi i pozostawił mnie w mroku. Trwało to jakiś kwadrans; zwątpiłem, czy go jeszcze raz zobaczę i, orientując się według położenia klawikordu, chciałem drzwi otworzyć, gdy naraz⁶⁹ wszedł w starodawnym ubraniu galowym, w bogatej kamizelce, ze szpadą u boku, ze światłem w ręku.

Oślupiałem. Uroczyście zbliżył się ku mnie, łagodnie ujął mnie za rękę i ze szczególnym uśmiechem tak mi powiada:

⁶⁹ *naraz* (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

– Jestem kawaler Gluck⁷⁰.

⁷⁰ *Jestem kawaler Gluck* – Gluck żył w latach 1714–1787 [podczas gdy niniejsze opowiadanie nosi podtytuł *Wspomnienie z roku 1809*; Red. WL]. [przypis tłumacza]

Majorat ⁷¹

Niedaleko od brzegów morza Bałtyckiego – stoi zamek dziedziczny rodziny Her.... , który zowią Her... burg. Okolice jest surowa i pustylna. Za ledwie tu i ówdzie na piaszczystym gruncie dostrzeżesz garści trawy. Zamiast tych ogrodów, jakie zazwyczaj zdobią siedziby pańskie, ponad gołym murem widać tylko jakiś nędzny gaj sosnowy, którego żałoba ponura i niustanna zda się lekceważyć uśmiechniętą szatę wiosny. W tym lasku, zamiast wesołego świergotu ptasząt, słychać tylko monotonne krakanie kruków albo świst mew – zapowiedź burzy.

W pewnej odległości przecież natura zupełnie inną tu przybiera postać. Jesteś przeniesiony, niby pod działaniem laski czarnoksiężskiej – pomiędzy kwitnące pola i żyzne doliny. Ujrzysz tu obszerną, bogatą wieś, nad którą góruje wielki dom zarządzającego tym dominium⁷². Na końcu miłego gaju grabowego – znajdują się fundamenty wielkiego pałacu, który zamierzał zbudować jeden z dawniejszych właścicieli tej posiadłości. Jego spadkobiercy, wyjechawszy do swych dóbr w Kurlandii⁷³, nie dokończyli budowy tego gmachu, a baron

⁷¹ *majorat* – sposób dziedziczenia własności ziemskiej polegający na przejmowaniu majątku zmarłego przez najstarszego syna lub najbliższego krewnego bądź majątek tak odziedziczony. [przypis edytorski]

⁷² *dominium* – wielkie posiadłości ziemskie lub leśne. [przypis edytorski]

⁷³ *Kurlandia* – południowa część dawnych Inflant, położona nad Bałtykiem i Zatoką

Roderyk von Her.... , który powrócił, by się osiedlić w rodzowym gnieździe swych ojców, wołał, przy swoim usposobieniu ponurym i mizantropijnym⁷⁴, mieszkać w starym zamku samotnym, niżli dokończyć tego, który zaczął niegdyś. Rozkazał odrestaurować, o ile to było możliwe, zrujnowaną siedzibę swych przodków i zamknął się w niej wraz z oburkliwym intendentem i małą liczbą służebników. Rzadko jeno pokazywał się we wsi. Natomiast często błądził konno tu i ówdzie brzegiem morza – i jak ludzie powiadali, wydawało się z daleka, że baron rozmawia z morzem, że słucha łoskotu i szumu fal, rzekłbyś – rozumiał się dobrze z tajemniczym duchem morza. Na najwyższej wieży zamku kazał zbudować swą pracownię i umieścić w niej wielką lunetę oraz całkowity zbiór narzędzi astronomicznych.

Codziennie, zwróciwszy oczy ku morzu, obserwował okręty rysujące się na dalekim widnokregu, niby mewy o białych, rozpostartych skrzydłach. W noc gwiazdziste oddawał się tu, wraz ze swym starym rządcą – pracom astronomicznym albo, jak go podejrzewano – astrologicznym. W ogóle przypuszczali ludzie, że baron Roderyk poświęcał się naukom tajemnym, inaczej mówiąc, czarnej magii – i że skutkiem pewnej nieudanej operacji, która urażała jeden z domów panujących, zmuszony był opuścić Kurlandię. Najlżejsze wspomnienie dni, które przepędził w tej prowincji, budziło w nim uczucie zgrozy i wszystkie nieszczęścia swego życia przypisywał winie

Ryską. Od r. 1918 wchodzi w skład Łotwy. [przypis edytorski]

⁷⁴ *mizantropijny* – niechętny ludziom, zgorzkniały. [przypis edytorski]

przodków, jaką popełnili, opuszczając zamek pradziadowski.

By związać przyszłość rodziny z tym zamkiem, postanowił z niego zrobić majorat. Panujący książę przystał na projekt tej fundacji tym chętniej, że w ten sposób utrwałała się w okolicy familia znakomita, mająca już rozgałęzienia w prowincjach zagranicznych. Jednakowoż ani syn barona, ani posiadacz majoratu, który jak dziad nosił imię Roderyka – nie mogli w zamku pozostać. Obaj mieszkali w Kurlandii. Mając usposobienie lekkie i wesołe, zda się – niedowierzali tej ponurej siedzibie, obranej przez Roderyka. Ten miał dwie biedne ciotki, stare panny, którym ofiarował w swych dobrach mieszkanie oraz środki egzystencji. Mieszkały one wraz ze staruszką służącą w ciepłym apartamencie bocznego skrzydła zamku, a prócz nich i starego kucharza, który zajmował wielką izbę podziemną w pobliżu kuchni, nie było w obszernych salach budynku nikogo więcej, jedynie tylko żył tam stary gajowy, który zarazem spełniał urząd odźwiernego. Inne osoby ze służby dworskiej mieszkały na wsi, u zarządzającego majątnością.

Na schyłku jesieni, kiedy już pierwsze śniegi zaczynały padać, kiedy nadchodził czas polowania na wilki i dziki – milczący i opuszczony zamek ożywiał się na nowo. Przybywał wówczas z Kurlandii baron Roderyk z żoną, z ciżbą⁷⁵ krewnych i przyjaciół, na pojazdach stosownych do polowania. Szlachta z okolicy i lubownicy⁷⁶ igrzysk myśliwskich z sąsiedniego miasta

⁷⁵ *ciżba* – banda, tłum, gromada. [przypis edytorski]

⁷⁶ *lubownik* (daw.) – miłośnik. [przypis edytorski]

przybywali jednocześnie – i zamek ledwie mógł pomieścić przybyłych gości. We wszystkich piecach i kominach ogień płonął od rana do wieczora, kucharze pracowali bez wytchnienia, a wesoła gromada panów i służby krążyła po schodach. Tu słyhać było brzęk szklanic, śpiewy myśliwskie, tam melodie taneczne, wszędzie hałaśliwe śmiechy i krzyki radości. W ciągu pięciu lub sześciu tygodni zamek stawał się raczej wspaniałą gospodą, leżącą nad ludnym gościńcem, niżli pańską rezydencją.

Baron Roderyk poświęcał, ile możliwości, te parę tygodni sprawom poważnym. Usunąwszy się od wrzawy swych gości, wypełniał obowiązki pana majoratu. Nie tylko kazał sobie zdawać ścisły rachunek ze swych dochodów, ale badał jeszcze każdy projekt udoskonaleń gospodarczych, słuchał najdrobniejszych skarg swoich poddanych – i starał się wszystko uporządkować, wyrównać wszelką krzywdę i niesprawiedliwość. Uczciwie mu w tych wysiłkach pomagał stary adwokat V... , jak niegdyś jego ojciec, plenipotent⁷⁷ interesów domu Her... , justycjariusz⁷⁸ dóbr, jakie rodzina miała w tej prowincji. Na osiem dni przed przybyciem barona, adwokat zazwyczaj udawał się do zamku.

W r. 179. nadszedł moment, gdy wierny V... miał, podług zwyczaju, udać się do siedziby barona. Miał on wówczas lat 70 i jakkolwiek niemało zachował świeżości i energii, sądził jednak,

⁷⁷ *plenipotent* – osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu; pełnomocnik. [przypis edytorski]

⁷⁸ *justycjariusz* – w dawnej Polsce – urzędnik sądowo-policyjny. [przypis edytorski]

że byłby mu użyteczny w jego pracy jaki młody pomocnik. Pewnego razu rzekł mi ze śmiechem: „Bratanku mój (jestem właściwie jego wnukiem stryjecznym i noszę jego nazwisko), sądzę, że byłoby dobre dla ciebie posłuchać szumu wiatrów morskich i pojechać ze mną do Her... Możesz mi być zresztą bardzo pomocny w trudnych zajęciach, i napisawszy rano jaki przyjemny akt sprawozdawczy, mógłbyś potem spróbować życia myśliwskiego, ćwiczyć się w sztuce spotykania oko w oko z szarym wilkiem albo głodnym dzikiem i celnym wystrzałem spotkane bydłę położyć”.

Zbyt wiele słyszałem o wrzawnych polowaniach w Her... Byłem zbyt przywiązany do swego szanownego a doskonałego dziada stryjecznego, by nie przyjąć skwapliwie⁷⁹ tej propozycji. Wprawny już poniekąd w rodzaj zajęć, jakie stryj prowadził, obiecywałem sobie ułatwić mu swą gorliwością część jego trudów. Nazajutrz, obwinawszy się w ciężkie futra, toczyliśmy się do zamku Her... wśród zamieci śnieżnej, zapowiadającej zimę.

Po drodze stryj mi opowiadał różne dziwne historie o baronie Roderyku, założycielu majoratu, który pomimo że mój stryj był jeszcze wówczas bardzo młody, wybrał go za swego plenipotentą⁸⁰ i wykonawcę testamentu. Mówił mi o surowej i dzikiej naturze barona, którą, zdaje się, ten przekazał w spadku

⁷⁹ *skwapliwie* – chętnie i szybko. [przypis edytorski]

⁸⁰ *plenipotent* – osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu; pełnomocnik. [przypis edytorski]

całej rodzinie, a która coraz bardziej budziła się w baronie obecnym, choć ten w pierwszych latach zapowiadał się jako charakter łagodny i słaby. Mówił mi, że powinienem się pokazać człowiekiem stanowczym i śmiałym, aby znaczenia nabrać w oczach pana. W końcu opisał mi mieszkanie, jakie sobie raz na zawsze wybrał w zamku: ciepłe, wygodne i tak oddalone od innych, że możemy do woli usunąć się całkowicie od wrzawy towarzystwa. Mieszkanie składało się z dwóch małych izb, pokrytych gustownym obiciem, pomieszczonych w pobliżu sali sądowej, naprzeciw mieszkania dwóch starych panien.

Po szybkiej, choć uciążliwej podróży, ciemną nocą przybyliśmy do Her... Przejeżdżamy wieś. Była niedziela. Dom zarządzającego jaśniał oświetlony od góry do dołu, słychać było melodię walca, dźwięki wesołych pieśni – a ten widok i te śpiewy sprawiły, że jeszcze smutniejszy i pustszy wydawał się nam budynek, w którym mieliśmy się zatrzymać.

Wiatr morski jęczał ponuro i głucho – a smutne sosny, zbudzone ze swej drzemki, odpowiadały mu żalosaną skargą. Ponad otchłanią śniegu – unosiły się nagie, czarne ściany zamku. Wrota były zamknięte. Krzyk, trzaskanie z bicia, uderzenia młotka – nic nam nie mogło tych drzwi otworzyć. Żadnego światła byś nie dojrzał. Można by rzec, że wszystko zamarło.

Stary mój stryj krzyknął głosem surowym i groźnym:

– Franciszku, Franciszku! Gdzież ty jesteś? Do stu diabłów, rusz się. Marzniemy tu na dworze. Śnieg nam twarz ścina. Do pioruna! Czy przychodzisz? Jakiś pies podwórzowy zaczął

wyć, ukazało się chwiejne światło, słyszeć się dało dzwonienie kluczy – i ciężkie wrota zazgrzytały na rdzawych zawiasach.

– Ach, pozdrowieni bądźcie, pozdrowieni bądźcie, panie plenipotencie. Co za brzydki czas!

Tymi słowy witał nas Franciszek, wysoko podnosząc latarnię, tak że całe jej światło padło mu na pomarszczoną twarz, jeszcze wykrzywioną w tej chwili w sposób szczególny życzliwym uśmiechem. Powóz wjechał na dziedziniec, zeszliśmy na ziemię – i wtedy mogłem widzieć jako całość osobliwą starego sługę, przybranego w odwieczną liberię⁸¹ dworską z galonami⁸². Na szerokie, blade czoło opadały mu dwa loki siwych włosów, dolna część twarzy miała silne kolory, właściwe myśliwcom, i pomimo wydatnych mięśni, które jego fizjonomii nadawały pozór szczególnej maski, w jego oczach i w kroju ust był wyraz poczciwości nieco mazgajowatej.

– A zatem, mój stary Franciszku – rzekł stryj, strząsając w przedpokoju śnieg ze swego futra – czy wszystko gotowe? Dywany w moim pokoju wytrzepane? Łóżka przygotowane? Palono w piecu ogień wczoraj i dzisiaj?

– Nie – odparł Franciszek bardzo spokojnie. – Nie, panie sędzio, nic z tego nie przygotowano.

– Ależ, na miły Bóg – zawołał stryj. – Toć pisałem

⁸¹ *liberia* – rodzaj ubioru, uniformu, noszonego przez służbę. [przypis edytorski]

⁸² *galon* – tu : tkana lub pleciona taśma wykonana całkowicie lub z dodatkiem metalowych nitek, przymocowana do ubrania. [przypis edytorski]

dość w czas⁸³, przybywam ściśle w dniu oznaczonym. Co za niedbalstwo! Izby moje są pewnie zimne jak lodownie.

– Pewno, panie sędzio – odparł Franciszek, obrywając starannie szczypcami ogarek, na knocie świeczki i depcząc go nogami. – Widzi pan, po co to mielibyśmy zapalać ogień? Wiatry i śnieg przenikają do tych izb przez potłuczone szyby i...

– Jak to? – zawołał stryj, przerywając Franciszkowi i odrzuciwszy połę⁸⁴ swego płaszcza, skrzyżował ramiona. Jak to? Szyby potłuczone, i ty, strażnik domu, nie wprawiłeś ich na nowo?

– Nie, panie sędzio – odrzekł stary sługa z tym samym spokojem. – Niełatwo wejść do waszego mieszkania z powodu masy kamieni i cegieł, co je zapełnia.

– Do stu diabłów! Skądże w moim mieszkaniu kamienie i cegła?

– Spełnienia życzeń, młody paniczu! – rzekł teraz Franciszek do mnie z grzecznym ukłonem, w chwili, gdym kichnął.

Po czym dodał: – Te kamienie i tynki pochodzą z muru, który tu runął podczas wielkiego rozwalenia się domu.

– Czy mieliście tu trzęsienie ziemi? – zawołał stryj gwałtownie.

– Nie, panie sędzio – odparł z uśmiechniętą twarzą Franciszek. – Ale trzy dni temu ciężkie sklepienie sali

⁸³ *dość w czas* (daw.) – wystarczająco wcześniej. [przypis edytorski]

⁸⁴ *poła* – dolna część jednej połowy ubioru rozpinającego się z przodu, takiego jak marynarka czy frak. [przypis edytorski]

audiencjalnej runęło z wielkim hałasem.

– Co za piekło! – Stryj, człowiek prędko i gwałtowny z natury, już chciał zakląć potężnie, ale podnosząc prawą rękę do góry, a lewą zdejmując z głowy swą czapkę z lisiego futra, zatrzymał się – i zwrócił się do mnie z żywym wybuchem śmiechu:

– Prawdziwie, mój bratanku, nie należy o nic pytać, gdyż dowiemy się jeszcze, że cały zamek zapadł się pod ziemię.

– A czemuż – dodał, zwracając się do Franciszka – nie przyszło wam do głowy oczyścić i ogrzać inny pokój? Czyż nie mogliście przygotować naprędce sali audiencjalnej w głównym budynku?

– Tak właśnie zrobiliśmy – rzekł stary Franciszek, ukazując schody z miną zadowoloną i powoli wchodził na stopnie.

– Patrzcież tego dziwaka! – rzekł stryj, idąc za nim. Ruszyliśmy poprzez długie, sklepienie korytarze, których mrok w tajemniczy sposób oświetlała latarnia w rękach Franciszka. Kolumny, kapitele⁸⁵, arkady zdawały się w naszych oczach krążyć po powietrzu. Obok nas sunęły olbrzymie cienie, snując się wzdłuż murów po szczególnych portretach, które zdawały się poruszać, drgać, migotać. Tajemnicze głosy – rzekłbyś – szemrały w odgłosie naszych kroków: „Nie budźcie nas, nie budźcie nas! Nas, co tu śpimy snem zaklętym, zawieszeni na tych starych kamieniach”. W końcu, przeprowadziwszy nas przez długi szereg izb ciemnych i zimnych, Franciszek otworzył nam

⁸⁵ *kapitele* – górna część kolumny, bezpośrednio wspierająca łuk lub sklepienie.
[przypis edytorski]

salę, w której żywy ogień kominka powitał nas, iskrząc się wesoło. Czułem się doskonale z chwilą, gdyśmy weszli do tego pokoju. Co do stryja, ten zatrzymał się pośrodku sali, obejrzał ją dokoła i głosem poważnym, niemal uroczystym, rzekł:

– Tu będzie izba sądowa.

Franciszek, podnosząc światło tak, żeśmy na ścianie zobaczyli płamę szeroką jak drzwi, odpowiedział żałośnie:

– Tu już był sąd!

– Cóż to ci przychodzi do głowy? – rzekł stryj, zdejmując futro i przybliżając się do komina.

– Tak mi się przypomina – odparł Franciszek. Zapalił świece i otworzył salę sąsiednią, która była przygotowana dla nas. Po chwili stół obficie nakryty stał przy kominku. Stary sługa przyniósł dobrze przyrządzone potrawy, rzecz nader miła dla stryja i dla mnie, oraz wielką wazę ponczu⁸⁶, przyrządzoną na sposób północny. Znużony podróżą, stryj mój udał się do swej sypialni natychmiast po wieczerzy. Nowość i osobliwość tej wyprawy, smak ponczu – cały szereg wrażeń zbyt silnie oddziaływały na mnie, abym mógł pomyśleć o spaniu. Franciszek zabrał stół, podsycił ogień i pożegnał mnie przyjaznym ukłonem.

Siedziałem sam w wysokiej, obszernej sali rycerskiej. Śnieżycą ustała, wicher ucichł, niebo się wypogodziło i jasny księżyc w pełni spłynął przez duże, okrągłe okno, magicznym pokrywając blaskiem wszystkie ciemne tego osobliwego gmachu zaułki, których skąpe światło świecy i komina dosięgnąć nie

⁸⁶ *poncz* – gorący napój alkoholowy na bazie herbaty i rumu. [przypis edytorski]

mogło. Jak się to jeszcze trafia w starożytnych zamkach, ściany i sufit sali ozdobione były w szczególny sposób: pierwsze pokryte ciężkimi drewnianymi taflami, drugie zaś fantastycznymi obrazami i snycerską robotą⁸⁷ połączaną lub na szaro pomalowaną. Z wielkich obrazów, po większej części przedstawiających dzikie sceny polowania na niedźwiedzie i wilki, wyskakiwały rżnięte z drzewa głowy ludzi i zwierząt, przyprawione do malowanego ciała tak, iż zwłaszcza przy migotliwym i drżącym blasku od ognia i księżyca całość straszliwą ożywiała się prawdą. Między tymi obrazami były wizerunki naturalnej wielkości, postacie w myśliwskim stroju kroczących rycerzy, zapewne przodków pana domu. Malowidła i rzeźby, szarawą pokryte farbą, wyraźnie nosiły piętno swej długowieczności, tym bardziej więc raziło jaśniejsze i puste miejsce na ścianie, w której było dwoje drzwi prowadzących do przyległych komnat. Przekonałem się zaraz, że i tam drzwi być musiały, które później zamurowane zostały i dlatego właśnie nowy mur tak się różnił od innych ścian dawniej pomalowanych i rzeźbą ozdobionych.

Któż tego nie wie, jak pobyt w miejscach niezwykłych zdolny jest tajemniczą siłą opanować naszego ducha, jak najleniwsza nawet wyobraźnia budzi się wśród tej doliny otoczonej dziwaczными skałami lub w ponurych murach kościoła i przeczuwa rzeczy nigdy wprzód niewidziane? Dodać jeszcze muszę, że miałem lat dwadzieścia i wypilem kilka szklanek

⁸⁷ *snycerska robota* – rzeźby w drewnie. [przypis edytorski]

mocnego ponczu, a łatwo pojąć, jak dziwnie mi się zrobiło na sercu w owej sali rycerskiej. Wyobraźmy sobie ciszę nocy, wśród której słycać tylko szum morza i osobliwsze świsty nocnego wiatru, niby tony potężnych organów poruszanych ręką duchów, przelatujące chmury, niby jasne, świecące olbrzymy zdawały się ciekawie zaglądać przez drżące szyby sklepionych okien. W samej rzeczy, z przestrochu, który mną wstrząsał, przeczuwałem, że teraz rozpoczynają się widocznie obce rządy. Uczucie to podobne było do zimnego dreszczu, jakiego z przyjemnością doznajemy, gdy nam kto opowiada żywo i obrazowo jaką powieść o strachach. Nadto przyszło mi na myśl, że nigdy w lepszym usposobieniu nie można czytać książki, którą wówczas, jak każdy hołdujący romantyzmowi, miałem w kieszeni. Był to Schillera⁸⁸ „Duchowidz” (*Geisterseher*)⁸⁹. Czytałem i czytałem, i coraz bardziej rozpalala się moja wyobraźnia. Stałem na precudnym opisie ślubnych godów u hrabiego B. i właśnie ukazała się krwawa postać Hieronima... , gdy – ze strasznym łoskotem rozwarły się drzwi prowadzące do przedsionka. Przerażony skoczyłem do góry, książka mi z rąk wypadła, ale w tej chwili wszystko ucichło i zawstydziłem się mojego dziecinnego strachu. Być może, iż przeciągiem powietrza lub innym jakim sposobem drzwi się otworzyły,

⁸⁸ *Johann Christoph Friedrich von Schiller* (1759–1805) – niemiecki poeta i filozof okresu romantyzmu, autor m. in. *Ody do radości*. [przypis edytorski]

⁸⁹ „Duchowidz” (*Geisterseher*) – tytuł polskiego tłumaczenia brzmi *Spirytualista*. [przypis edytorski]

a podrażniona moja fantazja w naturalnym wypadku dopatrzyła czegoś strasznego.

Uspokoiwszy się, podnoszę książkę z ziemi i rzucając się znowu w poręczowe krzesło. Wtem... idzie coś z cicha, z wolna, mierzonym krokiem, idzie w poprzek sali, a idąc wzdycha i jęczy. W tych westchnieniach i jękach wyrażało się najgłębsze ludzkie cierpienie, boleść niepokieszona. – Ha, pomyślałem, to zapewne jakie biedne, chore stworzenie, zamknięte gdzieś na dole, a w nocy, wiadomo, jakie powstają złudzenia akustyczne, gdy najodleglejszy szmer zwiększa się i zdaje się bliskim. Któż by się takimi rzeczami trwożył! Tak, uspokojałem się na nowo, ale teraz... coś drapie się o nowy ten mur, wydając coraz głośniejsze i boleśniejsze jęki, które tylko w strasznej chwili konania słyszeć można. – Tak, to jakieś biedne, zamknięte zwierzę... Stuknę tylko mocno w podłogę i wszystko umilknie albo też zwierzę z dołu wyraźniej, w naturalnym swym głosie da się słyszeć! Tak myślałem, ale krew zakrzepła mi w żyłach, zimny pot oblał mi czoło. Zdrętwiały siedziałem w fotelu, nie mogąc ani wstać, ani wydać głosu. Straszliwe drapanie ustało, kroki na nowo słyszeć się dały. Wtedy oprzytomniałem, życie wstąpiło we mnie. Podniosłem się szybko i parę kroków postąpiłem przed siebie, lecz lodowy ciąg powietrza przeszedł po sali i w tej samej chwili jasne światło księżycy padło na wizerunek jakiegoś poważnego, strasznie znakomitego męża, a z ust jego słyszałem wyraźnie, wśród odgłosu fal morskich i poświstów wichru północnego głos ostrzegający: – Ani kroku dalej, jeśli nie chcesz popaść

w straszną otchłań świata duchów! Znów się drzwi z tym samym co wprzód łoskotem rozwarły i zdało mi się, że słyszę kroki w przedsionku. Ktoś schodził na dół. Główne drzwi zamkowe zaskrzypiały straszliwie i znów się zamknęły. Potem zdało mi się, jak gdyby ktoś konia wyprowadził ze stajni i po jakimś czasie znów go do stajni odprowadził... Potem wszystko ucichło. W tej chwili posłyszałem, jak mój dziadek stryjeczny wzdychał i jęczał w przyległym pokoju, to mi przywróciło przytomność, wziąłem świecę i poszedłem do niego. Staruszkowi widocznie śniło się coś strasznego. – Zbudźcie się, zbudźcie, zawołałem głośno, ścisnąwszy go za rękę i skierowawszy światło na twarz. Dziadek podniósł się z głuchym jękiem, spojrział na mnie życzliwie i rzekł:

– Dobrze zrobiłeś, kuzynku, żeś mnie obudził. Ej, szkaradny miałem sen, a temu winne te pokoje i sala, bo musiałem zamyślić się o czasie upłynionym i o tym, co się tu działo. Ale teraz możemy już spać na dobre. Potem okrył się kołdrą i zdało się, że zasnął. Kiedy świecę zgasilem i udałem się do łóżka, usłyszałem, że stary modlił się po cichu.

Nazajutrz wzięliśmy się do roboty. Rządca przyszedł z rachunkami, ludzie zgłaszali się z prośbą o załatwienie sporu lub innego jakiego interesu. W południe udał się ze mną dziadek do bocznego pawilonu, aby starym baronównom z wszelką atencją⁹⁰ złożyć uszanowanie. Franciszek nas zameldował, aleśmy dobrze wyczekać musieli, zanim wprowadziła nas do

⁹⁰ *atencja* – szacunek, respekt, poważanie. [przypis edytorski]

samego przybytku jakaś sześćdziesięcioletnia, zgarbiona, w pstre jedwabie wystrojona mateczka, która się przedstawiła jako nadworna panna ich wielmożności. Stare damy, przybrane w suknie zeszlowiecznej mody, przyjęły nas z komicznym ceremoniałem. Byłem dla nich przedmiotem wielkiego podziwienia, gdy dziadek z żartobliwą powagą przedstawił mnie jako młodego, pomagającego mu prawnika. Po ich minie widziałem, iż uważały dobro poddanych majoratu narażone na pewne niebezpieczeństwo z powodu mej młodości. Całe przyjęcie u starych dam było tak komiczne, iż nieco ochłodziłem z przestrachu minionej nocy, czułem jednak w duszy, jakby mnie opanowała nieznana siła albo raczej, jakbym dotknął koła, w którym dość kroku postąpić, aby bez ratunku być zgubionym. I trzeba było mi wezwać na pomoc wszystkie siły wewnętrzne, aby się oprzeć grozie, po której chyba nieuleczalna wariacja następuje. To też nawet stare baronówny ze swymi dziwaczными, wysoko napiętrzonymi fryzurami, ze swymi cudackimi sukniami, przystrojonymi w pióra i kolorowe wstęgi, nie wydały mi się śmiesznymi, ale raczej posępnymi i strasznymi. W ich starych, pożółkłych twarzach, w ich zmrużonych oczach chciałem wyczytać, w ich niegodziwej francuszczyźnie chciałem usłyszeć, jakim sposobem pogodziły się z niemiłymi, w zamku straszącymi istotami, a nawet potrafiły pozbyć się obawy i strachu. Dziadek, w wesołym będąc usposobieniu, swoją ironią wplątał je w tak niedorzeczną gadaninę, iż w innym humorze nie potrafiłbym się wstrzymać od głośnego śmiechu, ale jak

powiedziałem, baronówny, pomimo swego paplania pozostały dla mnie strasznym widziadłem. Dziadek, co myślał, że mi sprawi przyjemność, spojrział na mnie wielce zdziwiony. Dlatego po obiedzie, gdyśmy zostali sami w swoim pokoju, nie mógł dłużej milczeć i zawołał:

– Ależ kuzynku, na miłość Boga, co ci jest? Nie śmiejesz się, nie mówisz, nie pijesz. Czyś chory, czy ci brakuje czego?

Teraz nic już nie tałem, ale mu dokładnie opowiedziałem cały przestrah przeszłej nocy. Niczego nie zamilczałem, szczególnie też, że wypilem wiele ponczu i czytałem „Duchowidza” Schillerowskiego. Dodałem jeszcze: – Przyznaję, że najprawdopodobniej podrażniona i wybujała wyobraźnia moja potworzyła wszystkie te zjawiska, które tylko w moim mózgu istniały. Spodziewałem się, że stryjeczny dziadek nielitościwie mnie wyśmieje za to widzenie duchów, tymczasem był bardzo poważny, wlepił oczy w podłogę, a potem szybko podniósłszy głowę, rzekł:

– Nie znam twej książki, kuzynku, ale to pewna, że owego zjawienia duchów nie zawdzięczasz ani swej wyobraźni, ani działaniu ponczu. Wiedz, że to samo widziałem we śnie, czegoś ty doświadczył na jawie. Siedziałem sobie tak samo, jak i ty, w fotelu przy kominie, tak mi się jakoś zwidziało, ale co tobie objawiło się w odgłosach, ja to oglądałem okiem wewnętrznym, pojmując to doskonale. Tak, ujrzałem strasznego upiora, jak wszedł i bezsilny przyczołgał się do zamurowanych drzwi, jak w rozpaczycy drapał się na mur, tak że krew tryskała mu

z palców, jak zstąpił na dół, wyprowadził konia ze stajni i na powrót go odprowadził. Czyś słyszał, jak zapiał kogut w odległej chałupie? Wtedyś mnie obudził i wkrótce uspokoilem się po tym diabelskim dziele niegodziwego człowieka, który zdoła zamącić spokojne życie.

Stary umilkł; nie chciałem stawiać dalszych pytań, pewny będąc, że mi wszystko wyjaśni, jeśli to uzna za właściwe. Jakoż po niejakiu chwili, nadumawszy się długo, mówił dalej:

– Teraz kiedy wiesz, co się tu święci, będziesz miał odwagę dotrzymać placu tym strachom, ale razem ze mną?

– Naturalnie – oświadczyłem – iż jestem gotów.

– W takim razie – mówił staruszek dalej – na przyszłą noc będziemy czuwali. Wewnętrzny głos mi mówi, że nieczysta siła ustąpić musi, nie tak przed moją władzą duchową, jak raczej przed odwagą, polegającą na głębokim przekonaniu, że to nie jest z mej strony żaden zuchwały postępek, ale czyn śmiały i pobożny, gdy życie i ciało narażam na to, aby odpędzić potępieńca, który synów oddala od siedziby przodków. A więc nie ma co mówić o niebezpieczeństwie, ponieważ w tak silnym i zacnym przedsięwzięciu, w tak pobożnej wierze, jaką jestem przejęty, można być tylko zwycięskim bohaterem. Z tym wszystkim, niech się dzieje wola Boża i gdyby nieczysta siła pokonać mnie zdołała, to winieneś kuzynku oznajmić, że poległ w świętej, chrześcijańskiej walce z duchem piekielnym, który tu swoje harce wyprawia. Ty zaś trzymaj się z dala. Tobie się nic nie stanie.

Wśród różnych drobnych zajęć nadszedł wieczór. Franciszek, jak w dniu wczorajszym, zastawił wieczerzę i przyniósł nam ponczu. Księżyc w pełni przyświecał pośród jasnych obłoków, morskie fale szumiały, a wiatr północny wył i potrzasał trzeszczącymi szybami w oknach. Pomimo wewnętrznego wzruszenia przymuszaliśmy się do obojętnej rozmowy. Stary położył swój zegarek na stole. Wybiła na nim dwunasta godzina. Nagle z wielkim łoskotem drzwi się otworzyły i jak wczoraj, coś wolnym i cichym krokiem sunęło przez salę, wydając głośne jęki i westchnienia. Staruszek pobladł, ale jego oczy błyszczały niezwykłym ogniem, podniósł się z fotelu i jak był wysokiego wzrostu, wyprostował się cały, a wsparłszy się lewą ręką, prawą wysunął ku środkowi sali i tu się zatrzymał. Wyglądał jak wódz dający rozkazy. Coraz głośniejsze dały się słyszeć westchnienia i jęki, i straszniej jak wczoraj zaczęło drapać się po ścianie. Wtedy stary postąpił naprzód krokiem silnym, że aż drżała podłoga i zmierzał wprost ku zamurowanym drzwiom. Stał tuż w miejscu, gdzie coraz wścieklej drapało i zawołał podniesionym, uroczystym głosem, jakiego nigdy dawniej u niego nie słyszałem:

– Danielu, Danielu! Co tu robisz o tej godzinie?

Wtedy zadrapało jeszcze straszniej i okropniej, i dało się słyszeć głucho uderzenie, jakby coś upadło na ziemię.

– Szukaj łaski i przebaczenia przed tronem Najwyższego, tam jest twoje miejsce. Wynoś się ze świata, do którego już nigdy należyć nie możesz!

Tak mówił stary z większą niż pierwiej mocą. I stało się. Jakby powietrzem przeciągnął płacz stłumiony i zmieszał się z odgłosem burzy, która właśnie srożyć się zaczęła. Wtedy starzec postąpił ku drzwiom i zatrzaskał je tak silnie, że aż się rozległo w pustym przedsionku. W jego głosie, ruchach i postawie było coś nadludzkiego, co mnie głęboką bojaźnią przejęło. Kiedy usiadł w fotelu, wzrok miał osobliwie rozjaśniony, złożył ręce i modlił się po cichu. Zaledwie kilka minut upłynęło, zapytał mnie głosem tkliwym, za serce chwytającym, który jemu tak był właściwy:

– No i cóż, kuzynku?!

Przestrachem, grozą, trwogą i świeżą bojaźnią przejęty, padłem na kolana i gorącymi zrosiłem łzami podaną mi rękę. Starzec objął mnie w ramiona i przyciskając do serca, czułym rzekł głosem:

– No, teraz możemy spać swobodnie, kochany kuzynku!

Tak się też stało i gdy następnych nocy nie wydarzyło się nam nic nieprzyjemnego, odzyskaliśmy dawną wesołość, tylko stare baronówny na tym straciły, bo zawsze pozostały trochę straszными ze swoim dziwacznym charakterem. Były to wszakże rozweselające straszdyła, które stary umiał rozruszać w najkomicniejszy sposób.

Na koniec, w kilka dni później, przybył baron z małżonką i licznym orszakiem myśliwych. Zjechali się zaproszeni goście i w nagle ożywionym zamku rozpoczęła się dzika wrzawa, jak wyżej było opisane. Gdy baron, zaraz po swoim przybyciu,

wszedł do naszej sali, zdziwił się mocno z powodu zmienionego naszego mieszkania, rzucił posepne spojrzenie na drzwi zamurowane i szybko się odwracając, powiódł ręką po czole, jakby stamtąd chciał odegnać niemiłe wspomnienie. Dziadek mówił o spustoszeniu sali sądowej i zawalonych pokojach. Baron zganił Franciszka, że nas lepiej nie pomieścił i prosił starego bardzo uprzejmie, aby tylko rozkazał, jeśli mu w nowym mieszkaniu, które daleko jest gorsze, zbywa w czymkolwiek na wygodach, do jakich dawniej przywykł. W ogóle postępowanie barona z dziadkiem było nie tylko serdeczne, ale połączone z pewnym uszanowaniem synowskim, jak gdyby baron zostawał ze starym w pewnym stosunku pokrewieństwa. Była to jedyna rzecz, która pod pewnym względem godziła mnie z szorstkim i rozkazującym charakterem barona, a który z każdym dniem coraz więcej się uwydatniał. Na mnie albo nic, albo bardzo mało pan baron zważał. Widział we mnie zwyczajnego tylko pisarza⁹¹. Zaraz w początkach, gdy się zajął jakąś sprawą, chciał znaleźć niedokładność co do formy. Krew uderzała mi do głowy, już miałem się ostro odciąć, gdy dziadek się odezwał, upewniając, że ja właśnie wszystko według jego wskazania robię i że ono tylko może mieć prawne znaczenie. Gdyśmy sami zostali, gorzko się uskarżałem na barona, że coraz więcej jest mi nieprzychylny.

– Wierz mi, kuzynku – odrzekł starzec – że baron, mimo swego szorstkiego usposobienia, jest najlepszym

⁹¹ *pisarza* – tu: notariusz bądź kopista, osoba przepisująca dokumenty. [przypis edytorski]

i najzaciejszym człowiekiem na świecie. I tego usposobienia, jak ci już mówiłem, nabył dopiero od czasu, gdy został posiadaczem majoratu, wprzód zaś był łagodnym i skromnym młodzieńcem. Zresztą co do niego, to wielce przesadzasz, a chciałbym wiedzieć, dlaczego ci się wydaje tak nieprzyjemnym?

Mówiąc te słowo stary uśmiechał się szyderczo. Krew jak ukrop gorąca na twarz mi wybiła. Musiałem niezbyt jasno czytać we własnym sercu, skoro nie poznałem, że owa dziwna nienawiść zrodziła się z miłości albo raczej z ukochania istoty, która wydała mi się najmilszą i najwspanialszą, jaka kiedykolwiek ukazała się na ziemi. Tą istotą był nie kto inny, tylko sama baronowa. Gdy tylko przyjechała i szła przez pokoje w sobolowym futrze⁹², które dokładnie odznaczało jej cudne kształty, mając głowę zakrytą bogatą zasłoną, zjawieniem swoim wywarła na mnie urok potężny, niczym nieprzeparty. Do tego przyczyniła się i ta okoliczność, że stare ciotki w sukniach i fontaziach⁹³ bardziej cudacznych niż dotąd, widziałem, dreptały koło niej z obydwu stron, szczebiocząc swoje powitania francuskie, gdy ona, baronowa, z nieopisanym wdziękiem wkoło siebie spoglądała, kłaniając się mile już temu, już owemu. A gdy jeszcze wkrótce przemówiła czystym dialektem

⁹² *sobolowe futro* – drogie futro wykonane z sobola, drapieżnego ssaka z rodziny łasicowatych . [przypis edytorski]

⁹³ *fontaż* – ozdoba fryzury kobiecej z koronek i wstążek upiętych wysoko nad czołem. [przypis edytorski]

niemieckim, to wszystko razem utworzyło tak odmienny obraz, iż fantazja mimowolnie stawiała obok niego straszne widziadło nocne. Wtedy baronowa wydała mi się prawdziwym aniołem światła, przed którym ustępują siły piekielne. Cudnie piękna ta kobieta bardzo silnie uczyniła na mnie wrażenie. Mogła mieć wówczas najwyżej lat dziewiętnaście. Niewielkiego wzrostu, prześlicznej twarzy, w której odbijała się dobroć anielska. Szczególniej też był urok nieopisany w spojrzeniu jej ciemnych oczu. Jak błądy promień księżycy przemykała w nich rzewna tęsknota, a w miłym uśmiechu całe niebo marzeń i zachwytu. Można by sądzić, że jakiś ciężki smutek wtedy jej dolega, chociaż mnie się wydało, że to tylko bolesne przecucie nieszczęśliwej przyszłości. Nie mogąc sobie wytłumaczyć tego jej usposobienia, w dziwny sposób powiązałem go z nocnym widziadłem, ukazującym się w zamku.

Nazajutrz po przybyciu barona zebrało się towarzystwo na śniadanie. Dziadek przedstawił mnie baronowej i jak się zwykle dzieje w podobnych razach, byłem pomieszany, dawałem najniedorzeczniejsze odpowiedzi na proste pytania uprzejmej gospodyni domu, jak mi się podoba w zamku itp., tak dalece, że stare ciotki przypisując moje zakłopotanie jedynie głębokiemu uszanowaniu, jakim byłem przejęty dla pani zamku, łaskawie ujęły się za mną, wychwalając mnie po francusku, jako grzecznego i miłego młodzieńca, *un joli garçon*⁹⁴. To mnie tak obeszło, iż oprzytomniałem i popisałem się conceptem,

⁹⁴ *un joli garçon* (fr.) – ładny chłopiec. [przypis edytorski]

powiedzianym w daleko poprawniejszej francuszczyźnie, niż parlowanie⁹⁵ starych dam. Spojrzały też na mnie zdziwione i skryły swoje spiczaste nosy w tabakierkach⁹⁶. Z pierwszego wejrzenia, jakie baronowa rzuciła na mnie, zwracając się do innej damy, poznałem, że musiał powiedzieć jakieś wielkie głupstwo. To mnie jeszcze bardziej rozdrażniło, dlatego życzyłem starym damom, aby się gdzie w piekło zapadły.

Pasterskie⁹⁷ wzdychania i romansowe cierpienia od dawna już dziadek wybił mi z głowy, wyśmiewając je jako dziecinne niedorzeczności. Teraz jednak uczułem, że baronowa głębiej i silniej mój umysł i serce zajęła, niż jaka bądź inna kobieta. Patrzyłem na nią tylko i jej tylko głos słyszałem, chociaż czułem dobrze, iż sama myśl o jakim romansie byłaby niedarowanym szaleństwem, a niepodobna⁹⁸ było wielbić i podziwiać z daleka, jak zakochany młodzieniaszek, którego bym sam musiał się wstydzić. Zbliżyć się do tej ślicznej kobiety, nie dając jej poznać mych uczuć, pić słodką truciznę jej spojrzeń i słów. Potem z dala od niej długo, a może na zawsze mieć ją w sercu. To mogłem, to mi wolno było uczynić. Gdy ta romantyczna, prawdziwie rycerska miłość rozmarzyła mnie w nocy bezsennej, byłem do tego stopnia dziecinny, że sam do siebie mówić zacząłem, a wreszcie wzdychać żałośnie:

⁹⁵ *parlowanie* – z ft. *parler*: mówić (po francusku). [przypis edytorski]

⁹⁶ *tabakierka* – pojemnik do przechowywania tabaki. [przypis edytorski]

⁹⁷ *pasterskie* – tu: sielankowe. [przypis edytorski]

⁹⁸ *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

– Ach, Serafino! Serafino!

Dziadek zbudził się i odezwał do mnie:

– Kuzynku, kuzynku, zdaje mi się, że marzysz za głośno! Jeśli ci się podoba, rób to we dnie, ale w nocy pozwól mi spać spokojnie.

Obeszło mnie wielce, że dziadek, który już w czasie samego przyjazdu baronowej zauważył moje wzruszenie, teraz usłyszał jej imię. Spodziewałem się, że obsypie mnie swymi sarkastycznymi żartami, ale ku wielkiemu mojemu zdziwieniu nic więcej nie powiedział, tylko nazajutrz, gdyśmy wchodzili do sali sądowej, rzekł: – Daj Boże każdemu zdrowy rozsądek i staranie, aby go w dobrym trzymał zamknięciu. Bieda to, gdy komu, ni stąd ni zowąd przyjdzie ochota wystrychnąć się na głupca.

Potem zasiadł przy dużym stole i dodał:

– Pisz, kuzynku, pięknie i wyraźnie, abym łatwo mógł czytać twoje pismo.

Uszanowanie, a nawet cześć głęboka, jaką baron okazywał mojemu stryjecznemu dziadkowi, przebijały się we wszystkim. Dlatego też musiał przy stole zajmować miejsce, którego mu niejednen zazdrościł – miejsce koło baronowej. Mnie zaś los rzucał tu i ówdzie, zwykle jednak dwóch oficerów z pobliskiego miasta brało mnie między siebie, aby mi opowiedzieć wszystkie nowinki i ucieszne miejskie wydarzenia, a przy tym wesoło wysączyć niejednen kieliszek wina. Tym sposobem przez kilka dni z rzędu siedziałem z dala od baronowej, na drugim końcu

stołu, przypadek dopiero zbliżył mnie do niej.

Nim dla zebranego towarzystwa otworzono salę jadalną, rozpoczęła ze mną rozmowę i zdaje się, znalazła w niej upodobanie towarzyska baronowej, osoba młoda, a prócz tego nie bez dowcipu. Stosownie do przyjętego zwyczaju, gdy wyruszono do stołu, wypadało mi podać jej rękę. Niemało się ucieszyłem, gdy zajęła miejsce opodal baronowej, która ją powitała wdzięcznym skłonieniem głowy. Łatwo się można domyśleć, że wszystkie moje słowa skierowane były już nie tylko do mojej towarzyski, ale głównie do baronowej. Być może, wewnętrzne usposobienie nadawało wszystkiemu, co mówiłem, szczególniejszą podniosłość, bo moja towarzyska coraz uważniej mnie słuchała, a w końcu dała się pociągnąć w fantastyczny świat złudzeń, który przed nią roztaczałem. Była ona, jak się powiedziało, nie bez dowcipu, toteż nasza rozmowa wkrótce się ożywiła i odłączyła od ogólnej. Goście rozmawiali o tym i o owym, nasza zaś pogadanka żyła na własną rękę i rzucała niekiedy błyskawice tam, gdzie chciałem, aby padały. Zauważyłem, że moja sąsiadka rzuciła na baronową porozumiewawcze spojrzenie i ta raczyła nam się przysłuchiwać. Szczególniej działo się tak, gdy rozmowa skierowała się na muzykę, gdym mówił z zapalem o tej uroczej i świętej sztuce, nie tając bynajmniej, iż pomimo tego, żem się oddał suchemu i nudnemu prawnictwu, nieźle gram na fortepianie, śpiewam, a nawet ułożyłem kilka pieśni.

Gdy wstano od stołu, aby przejść do pobliskich pokojów na

likier i kawę, nie wiem sam jakim sposobem stanąłem przed baronową, która rozmawiała z moją sąsiadką. Zaczęła więc mówić i ze mną, ale już tym życzliwym tonem, jakiego się używa z dobrymi znajomymi. Powtórzyła dawniej zadane mi pytanie, jak mi się w zamku podoba itp. Odpowiedziałem, iż samotność miejsca, a nawet sam starożytny zamek w szczególniejszy sposób pierwszych mianowicie dni na mnie oddziaływały, ale i w tych wrażeniach wiele doznałem przyjemności, tak iż teraz życzyłbym sobie tylko, abym się mógł uwolnić od owych dzikich łowów, do których nie jestem przyzwyczajony. Baronowa uśmiechnęła się i rzekła:

– Wyobrażam to sobie, że panu w naszych posępnych lasach sosnowych nie bardzo musi być przyjemnie. Pan jesteś muzykiem i jeśli się nie mylę, jesteś także poetą. Namiętnie lubię obydwie te sztuki. Gram nawet trochę na harfie, bez której teraz w K. muszę się obywać, gdyż mąż mój nie chciał, abym brała z sobą instrument, którego łagodne tony dziwnie by brzmiały wśród dzikiej wrzawy i nieustannego odgłosu rogów myśliwskich, jakie tu tylko słyszeć można. Ach, mój Boże, jakżebym rada⁹⁹ posłuchać muzyki.

Zapewniłem ją, że wszelkich dołożę starań, aby to jej życzenie spełnić się mogło, gdyż bez wątpienia znajduje się w zamku jaki, choćby stary fortepian. Na te słowa głośno roześmiała się panna Adelajda (tak się nazywała towarzyszką baronowej) i zapytała mnie, czy nie wiem o tym, że od niepamiętnych

⁹⁹ *rad* (daw.) – chętny. [przypis edytorski]

czasów w zamku tutejszym rozlegają się tylko wrzaskliwe trąby, płaczące na znak radości rogi myśliwskie, skrzeczące skrzypce, rozstrojone basy i beczące oboje przechodnich muzykantów. Baronowa przecież nie odstępowała od swego życzenia, chciała posłuchać muzyki, a i mnie przy tym. Dlatego wraz z Adelajdą gubiły się w pomysłach, skąd by jaki fortepian wydobyć. W tej właśnie chwili stary Franciszek kroczył poważnie przez salę.

– Oto człowiek, jakiego nam potrzeba: on na wszystko znajdzie radę, nawet na rzeczy niemożliwe.

Mówiąc te słowa, panna Adelajda wezwała go i gdy mu tłumaczyła, o co rzecz idzie, baronowa przysłuchiwała się z założonymi rękami i główką naprzód pochyloną, patrząc z miłym uśmiechem staremu w oczy. Prześlizgnie wtedy wyglądała, podobna do pięknego dziecka, które by radę¹⁰⁰ jak najprędzej mieć w rękę upatrzoną zabawkę.

Franciszek swoim zwyczajem długo się namyślał, wyliczając mnóstwo przyczyn, że to prawie niepodobieństwo¹⁰¹, aby naprędce wystarać się o instrument tak rzadki, wreszcie przymilająco pogłaskawszy się po brodzie, rzekł:

– Ależ pani rządczyni, tam na wsi, wybija wcale niepospolicie na klawicymbałach¹⁰² czy też, jak je tam z cudzoziemska inaczej

¹⁰⁰ *rad* (daw.) – chętny. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *niepodobieństwo* (daw.) – coś niemożliwego. [przypis edytorski]

¹⁰² *klawicymbał* – dawny instrument muzyczny, klawiszowy, strunowy, w kształcie fortepianu, w którym dźwięk wydobywał się poprzez naciśnięcie klawisza, który powodował szarpnięcie struny piórkiem. [przypis edytorski]

nazywają – ten instrument, co to przy nim śpiewają także tak żałośnie i czule, że oczy się z płaczu czerwienią niby od cebuli, a przy tym chciałoby się skakać na obydwie nogi...

– To ona ma fortepian? – przerwała mu panna Adelajda.

– A jużci, mówił stary, prosto z Drezna sprowadzony, jakiś...

– Pysznie, wybornie! – zawołała baronowa.

– Jakiś piękny instrument – ciągnął stary dalej – ale to bieda, że trochę za słaby, bo jak organista śpiewał:

„*We wszystkich czynach moich...*” uderzył tak silnie, że...

– Ach, mój Boże! – zawołała baronowa i panna Adelajda, że...

– Że wszystko trzeba było z wielkim kosztem do miasta odstawić do reperacji...

– Ale już od reperacji sprowadzono? – zapytała niecierpliwie panna Adelajda.

– A jużci, wielmożna panienko, i pani radczyni będzie sobie uważała za zaszczyt...

W tej chwili przechodził baron. Zdziwił się widząc nas razem i szepnął baronowej z szyderskim uśmiechem:

– Czy Franciszek znów dobrych rad udziela?...

Baronowa zarumieniła się i spuściła oczy, a Franciszek, przestraszony, umilkł i stał jak żołnierz wyprostowany ze spuszczonej na dół rękami. Nadciągnęły stare ciotki w swych jedwabnych sukniach i uprowadziły baronową ze sobą. Za nimi poszła i panna Adelajda. Zostałem, jak oczarowany. Nie posiadałem się z radości, że zbliżę się do niej, do mojej ubóstwianej, co zawładła całą moją istotą, złościłem się tylko

na barona, który mi się wydał dzikim despota. Bo czyż nie był taki? Czemuż stary, osiwiwały sługa tak niewolniczo musiał się zachowywać?

– Słuchaj no! Spójrzij przecie na mnie – zawołał stryjeczny dziadek, trącając mnie po ramieniu. Poszliśmy na górę do swoich pokojów.

– Nie ciśnij się tak bardzo do baronowej – rzekł do mnie, gdyśmy byli sami. – Po co ci? Zostaw to młodemu fircykom¹⁰³, tak chętnym do nadskakiwania, a na nich nie zbywa!

Opowiedziałem dziadkowi, co zaszło i zapytuję, czy zasługuję na jego wymówki? Nic na to nie odpowiedział, tylko: „hm, hm”, włożył na siebie szlafrok, zapalił fajkę i usadowiwszy się wygodnie w fotelu, najspokojniej mówił o wczorajszych wypadkach na polowaniu, żartując sobie ze mnie, że tyle razy spudłował.

W zamku nastąpiła cisza: panowie i panie zajęci byli strojami. Owi muzykanci z rzępolącymi skrzypcami, rozstrojonymi basami i wrzaskliwymi obojami, o których mówiła panna Adelajda, przybyli właśnie i w nocy miał być, ni mniej, ni więcej, tylko bal najformalniejszy. Mój staruszek wolał spoczynek niż zabawę, pozostał więc w swoim pokoju. Ja zaś przeciwnie, wybrałem się na bal. Byłem właśnie już gotów, kiedy z cicha zapukano do drzwi i wszedł Franciszek. Oświadczył mi z uśmiechem, że tylko co sprowadzono na

¹⁰³ *fircyk* —lekkoduch, modniś, elegant. [przypis edytorski]

saniach klawicymbały¹⁰⁴ od pani rządczyni i wniesiono do pokoju jaśnie wielmożnej baronowej. Panna Adelajda kazała mnie prosić, abym tam zaraz przyszedł. Można sobie wyobrazić, jak mi pulsa¹⁰⁵ biły, z jakim wzruszeniem otwierałem pokój, w którym ją znalazłem. Panna Adelajda życzliwie mnie powitała. Baronowa, zupełnie na bal ubrana, siedziała zamyślona przed tajemniczym pudłem, w którym drzemały tony, które ja dopiero zbudzić miałem. Powstała, a piękność jej takim zajaśniała blaskiem, iż długo patrzyłem na nią, nie mogąc słowa wymówić.

– A teraz, Teodorze (według przyjętego na północy zwyczaju, który również i na odległym południu spotykamy, nazywała każdego po imieniu), instrument już mamy – rzekła do mnie uprzejmie. – Daj Boże, aby się okazał godnym pańskiego talentu.

Skorom tylko pokrywę otworzył, zachropotało mnóstwo strun pozrywanych, a gdym uderzył akord, dały się słyszeć jakieś niesforne, straszliwe głosy. Struny, które pozostały, były rozstrojone.

– Znowu widać organista ze swymi delikatnymi rączkami – zawołała, śmiejąc się, panna Adelajda. Baronowa zaś rzekła ze smutkiem:

– Ach, to prawdziwe nieszczęście! Ja tu widać najmniejszej przyjemności znaleźć nie mogę!

¹⁰⁴ *klawicymbał* – dawny instrument muzyczny, klawiszowy, strunowy, w kształcie fortepianu, w którym dźwięk wydobywał się poprzez naciśnięcie klawisza, który powodował szarpnięcie struny piórkiem. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *pulsa* (daw.) – tętno. [przypis edytorski]

Przepatrzyłem¹⁰⁶ schowanka instrumentu i szczęśliwym trafem znalazłem kilka zwitków strun, ale klucza nigdzie odszukać nie było można. Nowe żale! A kiedy powiedziałem, że każdy klucz zwyczajny może się tu przydać, byle jego ząb przystawał¹⁰⁷ do kołeczków, wtedy baronowa i panna Adelajda, ucieszone, zaczęły biegać tu i ówdzie, tak że w niedługim czasie naznosiły mi cały stos różnych stalowych kluczyków.

Teraz zabrałem się pilnie do roboty: panna Adelajda, a nawet baronowa szczerze mi pomagały, próbując każdego klucza. Jeden z nich zaczął niezłe naciągać. Obie głośno objawiły swą radość. Wtem zasyczała struna i pękła, przestraszone cofnęły się.

Baronowa swymi delikatnymi rączkami przerzuca ostre drucziane struny i podaje mi numery, jakich potrzebuję. Gorliwie trzyma rolki, które ja rozwijam, ale te znów się zwijają. Baronowa się niecierpliwi, panna Adelajda się śmieje, a ja tymczasem idę za rozwijającym się kłębkim w kąt pokoju i wszyscy razem staramy się całą strunę wydobyć, ale i ta, wyciągnięta, zrywa się. Na koniec, po wielu niemałych trudach, właściwe struny się dobrały i z bezładnego brzęczenia wydobywały się czyste i dźwięczne akordy.

– Wybornie, wybornie – zawołała baronowa, spoglądając na mnie z miłym uśmiechem. – Fortepian się dostraja.

Wspólne te zabiegi i trudy razem podjęte szybko rozpędziły chłodną powściągliwość, jakiej etykieta wymaga. Powzięliśmy

¹⁰⁶ *przepatrzeć* — tu: przeszukać. [przypis edytorski]

¹⁰⁷ *przystawać* – tu: pasować. [przypis edytorski]

ku sobie wzajemną ufność, która jak iskra elektryczna wstrząsnęła mną i skruszyła ten straszny przymus, co jak kamień ciążył mi na piersiach. Ów szczególny patos, który zwykle ukazuje się w podobnym do mojego zakochaniu, zupełnie mnie opuścił, toteż gdy fortepian został jako tako nastrojony, zamiast w fantazji wyrazić moje uczucia, jak to sobie wprzód ułożyłem, zacząłem grać owe miłe canzonetty¹⁰⁸, które do nas z południa się dostały. A kiedyś śpiewał: *Senza di te... Sentimi idol mio...*¹⁰⁹ Albo też: *Almen se non poss'io*¹¹⁰ i po raz setny: *Morrirmi sento*¹¹¹... a jeszcze: *Adio*¹¹²... i *Oh dio*¹¹³... wzrok Serafiny stawał się coraz jaśniejszy. Siadła tuż przy mnie, około fortepianu. Oddech jej dotykał mojej twarzy. Kiedy oparła rękę na poręcz mego krzesła, biała wstążka, która się odczepiła od balowego stroju, spadła na moje ramiona i poruszana tonami muzyki i westchnieniami Serafiny przelatywała ode mnie do niej, niby wierny poseł miłości! Dziwna rzecz, że nie postradałem zmysłów. Gdy namyślając się nad nową piosenką, dobierałem akordy, powstała panna Adelajda, która sobie w kącie pokoju

¹⁰⁸ *canzonetta* – krótka, popularna forma muzyczna z XVI i XVII w.; wywodzi się z Włoch. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *Senza di te... Sentimi idol mio...* (wł.) – bez ciebie... usłysz mnie, moja kochana. [przypis edytorski]

¹¹⁰ *Almen se non poss'io* (wł.) – Jeśli nie mogę, przynajmniej..., kompozycja Vincenza Belliniego do anonimowych słów. [przypis edytorski]

¹¹¹ *Morrirmi sento* (wł.) – czuję, że umieramy. [przypis edytorski]

¹¹² *Adio* (wł.) – żegnaj. [przypis edytorski]

¹¹³ *Oh dio* (wł.) – Och, Boże. [przypis edytorski]

siedziała, przybiegła do baronowej, ukłękła przed nią, a ujmując obie dwie jej ręce i przyciskając do piersi, zawołała:

– Kochana baronowo, Serafinko droga! Teraz ty musisz zaśpiewać.

Baronowa na to:

– Co też ty mówisz, Adelajdo, jakże bym śmiała występować z moim biednym głosem obok naszego wirtuoza?

Jakże cudnie wyglądała, podobna do miłego, wstydzącego się dziecka, gdy ze wzrokiem spuszczone, zarumieniona, walczyła między ochotą a obawą. Łatwo się domyśleć, jak ją błagałem i gdy wspomniała o ludowych piosenkach kurlandzkich, dopóty prosiłem, aż zaczęła dobierać tony na fortepianie, szukając niby przygrywki. Chciałem jej miejsca ustąpić przy fortepianie, ale nie pozwoliła, upewniając mnie, że ani jednego akordu wziąć nie potrafi, dlatego też lęka się, że głos jej bez akompaniamentu wyda się słaby i niepewny. I zaczęła miłym, wdzięcznym głosem śpiewać jakąś piosenkę, której prosta melodia, tak właściwa owym pieśniom ludowym, co tak z głębi serca płyną, iż w jasnym ich blasku, który nas olśniewa, uznać musimy wyższą poetyczną naszą naturę. Jakiś tajemniczy urok zawiera się w prostych wyrazach, które zmieniają się w niewysłowione hieroglify i serce nam wypełniają. Któż nie przypomina sobie owej hiszpańskiej piosenki, której treść wyrażona w słowach jest mniej więcej taka: „Z moją dziewczką płynę po morzu, a potem burza powstaje. A moja dziewczka, przeleciała, ślania się to w tę, to w ową stronę! Nie, już nie popłynę po morzu z moją dziewczką!

Toż samo i piosnka baronowej nie więcej mówiła: „Niedawno tańczyłam na weselu z moim narzeczonym i wypadł mi kwiatek z włosów, on go podniósł, a oddając mi, powiedział: Kiedyż, o moja dziewczyno, będziem znów na weselu?” Kiedy przy drugiej zwrotce tej piosenki dobrałem akordy i w zapale, który mnie ogarnął, schwyciłem z ust baronowej melodię następnej, to wydałem się jej i pannie Adelajdzie tak wielkim artystą, że zasypały mnie pochwałami.

Pozapalane światła w sali balowej, leżącej w bocznym pawilonie, wniknęły i do pokoju baronowej, a wrzaskliwe odgłosy trąb i rogów zapowiadały, że już czas udać się na bal.

– Ach, muszę już tam iść – rzekła smutnie baronowa.

Powstałem od fortepianu.

– Panu zawdzięczam tę precudną godzinę, którą zaliczę do najmilszych chwil, jakie w K. przeżyłam. – Mówiąc to, baronowa podała mi rękę, gdy ją w najwyższym zachwycie do ust przyciskałem, czułem, jak przyśpieszone tętna uderzały w jej palcach. Nie wiem już potem, jak się dostałem do pokoju dziadka, a następnie poszedłem na bal.

Żył niegdyś Gaskończyk¹¹⁴, który lękał się walki, bo każda rana miała być dla niego śmiertelną, gdyż cały był sercem. Do niego mogłem się i ja, i każdy w moim usposobieniu porównać, bo tu każde wzruszenie staje się śmiertelnym. Ręka baronowej, jej pałające palce, dotknęły mnie jak zatrute strzały. Krew

¹¹⁴ *Gaskończyk* —mieszkaniec lub ktoś pochodzący z Gaskonii, historycznej dzielnicy Francji. [przypis edytorski]

wrzała mi w żyłach.

Dziadek, chociaż wcale się mnie nie wypytywał, zaraz nazajutrz wystąpił z historią wieczora, który z baronową przepędziłem. Dotknęło mnie to wielce, ale opowiadał wesoło, śmiejąc się. Nagle spoważniał i rzekł:

– Proszę cię, kuzynku, przestań tej niedorzeczności, która cię tak silnie opanowała. Wiedz o tym, że twoje postępowanie, jakkolwiek zdaje się być niewinne, może mieć nieprzyjemne następstwa. Stanałeś w niebacznym¹¹⁵ szale na cienkim lodzie, który załamie się pod tobą i ani się spostrzeżesz, jak wpadniesz do wody. Nie będę cię wstrzymywał za poję, bo wiem, że byś znów dostał zawrotu głowy i na śmierć się rozchorował. Trochę kataru można dostać we śnie, ale złośliwa gorączka, skoro się uczepi twego życia, to i lata przeminą, a nie przyjdiesz do siebie. Niech diabli porwą twoją muzykę, jeśli nie potrafisz lepszego z niej zrobić użytku, jak zamącać spokój wrażliwym i delikatnym kobietom.

– Ależ – przerwałem dziadkowi – nigdy mi na myśl nie przyszło zakochać się w baronowej!

– Błaźnie! – krzyknął stary – Gdybym się o tym dowiedział, to bym cię oknem wyrzucił.

Baron przerwał nam nieprzyjemną rozmowę, a rozpoczęta jakaś sprawa oderwała mnie od miłosnych wrażeń, w których Serafinę tylko widziałem i o niej marzyłem. W towarzystwie kiedy niekiedy rzuciła mi kilka uprzejmych słów, ale nie minął

¹¹⁵ *niebaczny* – nieostrożny. [przypis edytorski]

żaden wieczór, żeby nie przyszedł do mnie tajemny poseł od panny Adelajdy, który mnie wzywał do Serafiny. Tak się już potem złożyło, że rozmowa przeplatała muzykę. Panna Adelajda nie była już zbyt młodziutka, aby się okazywać tak naiwną i roztargnioną. Wyrывała się zwykle z jakim wesołym konceptem wtedy właśnie, kiedyśmy się z Serafiną zagłębiali w sentymentalne przecucia i nieokreślone marzenia. Z wielu szczegółów mogłem poznać, że baronową trapi jakiś wewnętrzny niepokój, który zauważyłem w jej usposobieniu, gdy ją po raz pierwszy zobaczyłem. Teraz wpływ zamkowego upiora nagle mi się wyjaśnił. Ileż to razy chciałem Serafinie powiedzieć, jak mnie przeraził niewidzialny wróg, jak go dziadek mój wypędził zapewne na zawsze, ale krępował mnie samego jakiś przestach, ile razy chciałem otworzyć usta.

Pewnego dnia nie było baronowej przy stole na obiedzie. Mówiono, że jest chora i z pokoju wychodzić nie może. Z troskliwością pytano barona, czy choroba jest niebezpieczna. Ten uśmiechnął się ponuro, jakby z szyderstwem, i rzekł:

– Nic strasznego, nabawił ją lekkiego kataru wiatr morski, który widocznie nie może tu znosić żadnego słodkiego głósiku, żadnych innych tonów, prócz chrapliwego hallo myśliwskiego.

Mówiąc te słowa baron, a właśnie siedziałem naprzeciwko niego, rzucił na mnie przeszywające spojrzenie. Do mnie więc mówił, nie do sąsiada. Obok mnie była panna Adelajda, ta zarumieniła się cała, wlepiła oczy w talerz przed nią stojący, a bawiąc się i stukając widelcem, szepnęła mi:

– Jeszcze dziś zobaczysz Serafinę, jeszcze dziś słodkie twoje piosenki uspokoją chore jej serce.

Gdy Adelajda wymówiła te słowa, naraz¹¹⁶ zdało mi się, jakobym zostawał z hrabiną w nieczystych, zakazanych stosunkach miłosnych, które strasznie może zbrodnią skończyć się mogły. Ostrzeżenie dziadka zaciężyło mi na sercu. Cóż teraz miałem czynić? Nie widzieć jej więcej? Dopóki w zamku zostawałem, było to niepodobieństwem, a gdybym chciał opuścić zamek i wrócić do miasta – także nie mogłem. Ach, zbyt mocno czułem, abym nie miał dość siły zbudzić się z marzenia, które mnie kołysało fantastycznym szczęściem miłości. Adelajda wydała mi się jak zwyczajna stręczycielka, chciałem ją wzgardzić.... a przecież, namyśliwszy się, zawstydziłem się swojego głupstwa. Czyliż w naszych błogosławionych godzinach wieczornych, w tych poufnych stosunkach z Serafiną zaszło coś takiego, na co zwyczaj i przyzwoitość nie pozwala? Jakże mogłem przypuszczać, że baronowa żywi dla mnie jakie uczucie? A jednak byłem przeświadczony o niebezpieczeństwie mojego położenia.

Wcześniej wstawano od stołu, gdyż jeszcze miało być polowanie na wilki, które pokazały się tuż pod samym zamkiem. Polowanie to przypadło mi na rękę, powiedziałem więc dziadkowi o moim zamiarze. Uśmiechnął się zadowolony i rzekł do mnie:

– To dobrze, że się raz rozruszasz, ja w domu

¹¹⁶ *naraz* (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

zostają. Możesz wziąć moją fuzję. Przypasz także kordelas¹¹⁷, w niebezpieczeństwie jest to dobra i pewna broń, jeżeli się tylko przytomność zachowa.

Część lasu, w której wilki miały swoje legowisko, otoczyli strzelcy. Było strasznie zimno, wiatr łomotał drzewami, a śnieg bił nie żartem w oczy tak, iż przy zapadającym zmroku zaledwie na sześć kroków przed sobą widziałem. Zziębły porzuciłem stanowisko i schroniłem się w głąb lasu. Wziąwszy fuzję pod pachę, oparłem się o jakieś drzewo i zapomniałem o polowaniu. Myśl poniosła mnie do Serafiny, do jej ustronnego pokoju. Wtem z daleka padły strzały i w tej samej chwili coś poruszyło się w zaroślach trzcinowych, i na jakieś dziesięć kroków od siebie ujrzałem ogromnego wilka, który chciał koło mnie przebiec. Zmierzyłem, wystrzeliłem... i chybiłem, byłbym więc zgubiony, gdybym nie miał tyle przytomności, iż wydobyłem kordelas i bestii, która mnie rozszarpać chciała, wpakowałem go w gardło, krew trysnęła i obryzgała mi rękę i ramię. Jeden ze strzelców barona, który stał niedaleko ode mnie, nadbiegł przerażony. Na powtórzony sygnał myśliwski wszyscy koło nas się zebrali. Przystąpił do mnie baron.

– Na miłość Boską, pan we krwi broczysz? Czyś raniony?

Upewniłem go, że nic mi się nie stało. Wtedy napadł na strzelca, który był przy mnie i wyrzucał mu, że nie wystrzelił, kiedy ja chybiłem. A chociaż ten usprawiedliwiał się, że to

¹¹⁷ *kordelas* —broń biała, długi prosty lub zakrzywiony nóż myśliwski do skłuwania i patroszenia upolowanej zwierzyny. [przypis edytorski]

było niemożliwe, ponieważ wilk w tej samej chwili rzucił się na mnie, tak iż strzał mógł mnie dosięgnąć, baron przecież przy swoim obstawał utrzymując, że powinien był czuwać nade mną, jako nad mniej doświadczonym myśliwym. Tymczasem strzelcy podnieśli wilka. Był to ogromny zwierz, jakiego od dawna nie widziano. Dziwili się wszyscy mojej odwadze i stanowczości, chociaż mój postępek wydał mi się bardzo naturalny, bo nie pomyślałem nawet o niebezpieczeństwie, na jakie się narażam. Szczególniej baron okazywał mi swoje współczucie, nie przestał mnie wypytywać, czy wilk mnie nie skaleczył i czy nie lękam się złych skutków z przestachu?

Powrócono do zamku, baron wziął mnie pod rękę jak najlepszego swego przyjaciela, strzelbę poniósł strzelec. Mówił wciąż o moim bohaterskim czynie, tak że w końcu ja sam uwierzyłem w swoje bohaterstwo. Pozbyłem się nieśmiałości i uczułem, że stanąłem na równi z baronem, jako człowiek odważny i przytomny. Student szczęśliwie złożył egzamin. Nie było już studenta. Wszelkie nieprzyjemności nowicjuszowstwa zniknęły. Zdało mi się, że nabyłem prawa starać się o względy baronowej. Któż nie wie, do jak niestatecznych marzeń zdolna jest fantazja zakochanego młodzieńca? Na zamku, przed kominem, przy dymiącej wazie ponczu, zastałem bohatera dnia tego, gdyż oprócz mnie tylko baron jeden powalił ogromnego wilka, inni zaś, zwalając swoje pudła na niepogodę i ciemność, poprzestali na opowiedzeniu strasznych historii o doświadczonym niegdyś na polowaniu szczęściu lub przebytych

niebezpieczeństwach. Spodziewałem się, że dziadek mnie pochwali i podziwiać będzie. W tej nadziei opowiedziałem mu cały wypadek dosyć szeroko, nie zapomniawszy jaskrawymi odmalować barwami krwiożerczego spojrzenia dzikiej bestii. Staruszek tymczasem roześmiał mi się w nos i rzekł:

– Bóg potężny czuwa nad słabymi.

Znużony piciem i towarzystwem, gdy sunąłem przez korytarz do sali sądowej, ujrzałem przed sobą jakąś postać, która przemknęła ze światłem w rękę. Wszedłszy do sali, poznałem, że to była panna Adelajda.

– A to jak duch jaki lub upiór trzeba się włóczyć, aby cię odszukać, mój panie, pogromco wilków.

Słowa duch – upiór, wymówione w tych miejscach, niemiłe uczyniły na mnie wrażenie. Naraz stanęły mi przytomnie w umyśle owe straszliwe zjawiska nocne. Wówczas dał wiatr morski w potężne organy, szyby w oknach przeraźliwie brzęczały, księżyc rzucał bladawe światło na ową tajemniczą ścianę, na której dało się słyszeć drapanie. Zdało mi się, że dostrzegam na niej krwawe ślady. Panna Adelajda, która mnie ciągle za rękę trzymała, musiała poczuć te zimne dreszcze, które mnie przejmowały, bo zawołała z cicha:

– Co panu jest? Kostniejesz cały. Potrafię cię ożywić. A wiesz pan, że baronowa wcale się nie spodziewa ujrzeć pana? Nie chce dać wiary, że w istocie wilk pana nie rozszarpał. Dręczy się okropnie. Ach, mój przyjacielu, cóż żeś to z Serafinki uczynił? Jeszcze jej nigdy w podobnym usposobieniu nie widziałam.

A... jak teraz szybko puls bije! Otóż zmarły jegomość nagle zmartwychwstał. No chodźże pan, tylko po cichu...

I milcząc, dałem się prowadzić. Sposób, w jaki mówiła Adelajda o baronowej, zdał mi się niegodnym, a szczególnie wzmianka o naszym porozumieniu się. Kiedy wszedłem z Adelajdą do pokoju, ciche: „ach” wyrwało się Serafinie. Postąpiła ku mnie trzy czy cztery kroki, potem jakby opamiętawszy się, stanęła na środku pokoju. Odważyłem się ująć jej rękę i do ust przycisnąć. Baronowa nie cofając ręki, mówiła:

– Mój Boże, czy to pańskie powołanie mierzyć się z wilkami? Czy pan nie wiesz o tym, że bajeczne czasy Orfeuszów¹¹⁸, Amfionów¹¹⁹ już dawno minęły? Dzikie bestie nie znają dziś najmniejszego uszanowania dla najznakomitszego artysty!

Ten piękny zwrot, którym baronowa pokryła żywe współczucie dla mnie i opaczne jego tłumaczenie, przywrócił mi przytomność umysłu, zapanowałem nad sobą. Sam już nie wiem, jak się to stało, że nie usiadłem, jak zwykle, przy fortepianie, ale zająłem miejsce na kanapie obok baronowej. Słowami: „I jakże się pan wydobył z niebezpieczeństwa?” – zawiązała się jakby umowa, że na dziś nie muzyką, ale rozmową się zajmiemy. Gdy opowiedziałem mój wypadek w lesie i wspomniałem o serdecznej dla mnie życzliwości barona, jakiej się po nim nie

¹¹⁸ *Orfeusz* (mit. gr.)—tracki śpiewak i poeta. Według legendy jego muzyka potrafiła skłonić do słuchania nawet dzikie zwierzęta. [przypis edytorski]

¹¹⁹ *Amfion* (mit. gr.) – syn Zeusa i królowny tebańskiej Antiope, król Teb, muzyk i poeta. [przypis edytorski]

spodziewałem, baronowa odrzekła miękkiem, prawie smutnym głosem:

– Jakkolwiek wydaje się on panu porywczym i szorstkim, wierzaj mi pan, że takim w istocie nie jest. Zmienia swój charakter, a przynajmniej sposób postępowania, skoro tylko przybędzie w te posepne mury... Najwięcej go rozstraja myśl ciągle prześladowająca, że tu stanie się coś straszego, jakieś wielkie nieszczęście. Dlatego pański wypadek na polowaniu, który, dzięki Bogu, żadnych złych nie pociągnął skutków, silnie go wstrząsnąć musiał. Na najmniejsze niebezpieczeństwo nie chce narazić najlichszego sługi swego, a cóż dopiero miłego, niedawno pozyskanego przyjaciela. Jestem też pewna, że Gotlib, któremu przypisuje winę pańskiego przypadku, ukarany będzie jeśli nie więzieniem, to wstydem, gdyż bez fuzji, a tylko z pałką będzie mu wolno przyłączyć się do orszaku myśliwych. Już to, że podobne polowania nigdy bez wypadku obejść się nie mogą, już to, że sam baron, chociaż się lęka jakiego nieszczęścia, ciągle kusi jednak złego ducha, rozkosz w tym znajdując. Dość, że to wszystko sprawia pewien przewrót w jego życiu, który i na mnie przykro oddziaływa. Opowiadają dziwne rzeczy o przodku barona, który majorat ustanowił, a wiem dobrze, że jakaś tajemnica rodzinna w tych murach się ukrywa, jakaś straszna przeszkoda wypędza stąd właścicieli, pozwalając im tu przebywać przez krótki zaledwie czas i to wśród dzikiej, głośniejszej wrzawy. Ale ja jakże samotna jestem wśród tych hałasów! Posepność wiejąca tu ze wszystkich ścian przenika mnie do głębi

duszy. Pan, drogi przyjacielu, swoim talentem dał mi pierwsze pogodne chwile, jakich tu zaznałam. Jakżem ci za to serdecznie wdzięczna!

Ucałowałem podaną mi rękę i powiedziałem, że i ja pierwszego dnia, albo raczej pierwszej nocy, doświadczyłem w tych murach przykrego, prawie strasznego wzruszenia. Baronowa nie spuszczała ze mnie oka, gdy wstrząśnięcie całego zamku, a szczególnie rujnacji w sali sądowej przypisywałem ciągle wiejącym wiatrom morskim. Być może, iż w moim głosie było coś takiego, co kazało się domyślać czegoś więcej, niż powiedziałem – dość, że kiedym umilkł, baronowa pośpiesznie zawołała:

– Nie, nie! Musiało się panu wydarzyć coś innego jeszcze w tej sali, do której nigdy bez pewnej trwogi nie wchodzę. Zaklinam pana, powiedz mi wszystko.

Z bladej twarzy Serafiny, podobniejszej do martwej niż żywej, zmiarkowałem, że lepiej będzie opowiedzieć jej dokładnie całe wydarzenie, aniżeli dozwolić wzburzonej wyobraźni przedstawić ową przeszkodę, z nieznanym mi powodów daleko straszniejszą niż w istocie. Słuchała mnie uważnie i przerażenie jej zwiększało się coraz bardziej. A kiedy mówiłem o owym drapaniu się po ścianie, wykrzyknęła:

– Ależ to okropne! Tak, w tym murze ukrywa się jakaś straszna tajemnica.

Gdy potem opisałem, jak dziadek siłą swego ducha pokonał moc nieczystą, odetchnęła głęboko, jakby wielki ciężar spadł

jej z piersi. Nachyliła się i w dłoniach ukryła twarz swoją. Teraz dopiero spostrzegłem, że Adelajda wyszła i nas samych zostawiła. Dawno skończyłem opowiadanie, a Serafina wciąż milczała. Wstałem więc po cichu, usiadłem przy fortepianie i dźwięcznymi akordami usiłowałem wywołać weselsze myśli, które by ją wywiodły z ciemnych otchłani, w jakie ją pogrążyły moje słowa. Zanuciłem potem, jak mogłem najrzeczniej śliczną canzonę¹²⁰ opata Stefaniego. Owe pełne tęsknoty słowa: *Occhi perche piangete*¹²¹ zbudziły Serafinę ze smutnej zadumy. Zaczęła mnie słuchać z miłym uśmiechem, chociaż łzy w oczach miała. A potem... jak to się stało – nie pamiętam, padłem przed nią na kolana, ona się do mnie skłoniła, objąłem ją w ramiona i długi, gorący pocałunek spłonął na moich ustach... Jak to się stało, że zmysłów nie postradałem, gdym uczułem, gdy mnie lekko do siebie przycisnęła? Nie wiem, jak wypuściłem ją z moich objęć i szybko powstawszy, wróciłem do fortepianu. Odwróciła głowę ode mnie i kilka kroków postąpiła do okna, nagle przybrawszy postawę dumną, jakiej wprzód nigdy u niej nie widziałem, zbliżyła się do mnie, a przenikająco spojrzawszy mi w oczy, rzekła:

– Dziadek pański jest bardzo zacny starzec, prawdziwy to anioł naszej rodziny. Oby zechciał nie zapominać o mnie w swej pobożnej modlitwie.

Nie byłem zdolny wyrzec ani jednego słowa. Zgubna trucizna,

¹²⁰ *canzona* (wł.) – pieśń liryczna, zwł. włoska. [przypis edytorski]

¹²¹ *Occhi perche piangete* (wł.) – oczy, dlaczego płaczecie? [przypis edytorski]

którą wyssałem z owych pocałunków, budziła się i wrzała we wszystkich tętnach, we wszystkich moich nerwach. Panna Adelajda weszła. Wściekłość wewnętrznej walki spłynęła we łzach gorących, których powstrzymać nie byłem w stanie. Adelajda zdziwiona spojrzała na mnie i uśmiechnęła się dwuznacznie. Byłbym ją udusił ze złości. Baronowa podała mi rękę i rzekła z nieopisaną dobrocią:

– Żegnam cię, drogi przyjacielu. Pamiętaj pan, że nikt lepiej nie rozumiał pańskiej muzyki ode mnie.

Ach, te słowa będą długo, długo dźwięczały w mej duszy.

Wyjąkałem kilka, bez związku, nedorzecznych wyrazów i pobiegłem do mieszkania. Dziadek już spoczywał. Zatrzymałem się w sali, padłem na kolana i głośno płakać zacząłem, wzywając imienia ukochanej, jednym słowem, oddałem się wszystkim nedorzecznościom miłosego szału. Dopiero wezwanie dziadka, który się zbudził, opamiętało mnie.

– Kuzynku, ja myślę, żeś albo zwariował, albo znów potykasz się z wilkiem. Ruszaj mi zaraz do łóżka, jeżeliś łaskaw!

Wezwanie to poskutkowało. Udałem się na spoczynek, postanowiwszy sobie marzyć o Serafinie.

Mogło już być około północy, a jeszcze nie spałem. Zdało mi się, że słyszę oddalone głosy, jakieś przebieganie tam i na powrót, otwieranie i zamykanie drzwi. Zacząłem nadstawiać ucha i usłyszałem przez korytarz zbliżające się kroki. Drzwi od sali otworzyły się i zapukano do naszego pokoju.

– Kto tam? – zawołałem głośno. Z zewnątrz dało się słyszeć:

– Panie justycjariuszu, panie justycjariuszu, obudź się pan.

Poznałem głos Franciszka i gdy zapytałem, czy się pali – już dziadek obudził się i zawołał:

– Gdzie się pali? Czy piekielne sztuczki już się rozpoczynają?

– Ach, wstań pan, panie justycjariuszu – mówił Franciszek – pan baron prosi pana do siebie.

– Czego pan baron chce ode mnie w nocy? – pytał dziadek dalej – Czy pan baron nie wie, że justycjariat wraz z justycjariuszem śpią w łóżku?

– Ach – przerwał Franciszek smutnie. – Jaśnie pani baronowa umiera. Zerwałem się z łóżka z przerażającym krzykiem.

– Otwórz drzwi Franciszkowi – zawołał na mnie dziadek.

Bezprzytomny słańałem się po pokoju, nie mogąc ani drzwi, ani zamku znaleźć. Dziadek musiał mi pomóc. Wszedł Franciszek błądy i pomieszany i zapalił świece. Zaledwieśmy się trochę przyodzielili, usłyszeliśmy samego barona odzywającego się z sali.

– Czy mogę z tobą pomówić, kochany panie V...?

– Po coś ty się ubrał kuzynie, wszak baron mnie tylko potrzebuje – pytał mnie dziadek, domyślając się mojego zamiaru.

– Pójdę tam, muszę ją zobaczyć, a potem umrę! – rzekłem głucho, zgnębiony straszną boleścią.

– A... to tak... masz słuszność, kuzynku. Powiedziawszy te słowa, stary trzasnął mi drzwiami przed nosem, że aż ściany zadrżały i na klucz je zamknął.

W pierwszej chwili, oburzony tym gwałtem, chciałem drzwi

wysadzić, ale pomyślawszy, jak fatalne mogłoby to pociągnąć za sobą skutki, postanowiłem czekać na dziadka i wtedy, bądź co bądź, wydobyć się spod jego przemocy. Każda chwila stawiała się dla mnie śmiertelna. Wreszcie usłyszałem, jak po barona przyszedł posługacz i ten natychmiast udał się za nim. Dziadek wrócił do pokoju.

– Ona umiera – zawołałem, biegnąc naprzeciwko niego.

– A tyś zwariował – odparł spokojnie. Schwycił mnie i posadził na krześle.

– Ja pójdę tam – krzyczałem. – Muszę ją zobaczyć, choćby mnie to życie kosztować miało.

– Zrób to, kochany kuzynku. – rzekł dziadek, zamykając drzwi na klucz i chowając go do kieszeni.

Wtedy ogarnęła mnie wściekłość, porwałem za broń nabitą i zawołałem:

– W twoich oczach, dziadku, w łeb sobie wypalę, jeśli mi zaraz drzwi nie otworzysz.

Dziadek stanął tuż przy mnie i rzekł, patrząc mi w oczy, jakby mnie chciał przeniknąć swym wzrokiem:

– Czy ty myślisz, chłopcze, że mnie zastraszysz swoją nędzną pogroźką? Czy ty myślisz, że twoje życie wiele znaczy u mnie, kiedy je pragniesz dla dziecinnego głupstwa porzucić jak nieużyteczną zabawkę? Co ty możesz mieć do czynienia z żoną barona? Kto ci dał prawo, abyś jak fircyk jaki wciskał się tam, gdzie nie powinieneś i gdzie nic sobie z ciebie nie robią? Czy chcesz odgrywać rolę zakochanego pasterza w uroczystej chwili

śmierci?

Zgnębiony padłem na krzesło. Po niejakej chwili mówił dalej dziadek, już nieco łagodniejszym głosem:

– A przy tym dowiedz się, że prawdopodobnie baronowej żadne nie grozi niebezpieczeństwo, tylko panna Adelajda wszystko przesadza. Jeśli jej kropelka wody na nos spadnie, to zaraz użala się na straszną niepogodę. Na dobitkę wrzawa ta, jakby wśród pożaru, doszła uszu starych ciotek. Te z płaczem przybiegły, opatrzone całym arsenałem rzeźwiących kropli, eliksirów długiego życia i Bóg wie czego. A tu zwykły napad mdłości...

Dziadek zatrzymał się. Widział jak walczyłem ze sobą. Przeszedł się kilka razy po pokoju, stanął znów przede mną, roześmiał się serdecznie i rzekł:

– Kuzynku, kuzynku, cóż ty za głupstwa wyprawiasz? No – to widać nic innego, tylko diabeł w różny sposób swoje sztuczki płata. Samochcąc wpadłeś mu w pazury, teraz harce z tobą wyprawia.

Znów przeszedł kilka kroków i mówił dalej:

– Sen już przepadł, cóż robić? Może by nieźle było wypalić fajkę i tak spędzić parę godzin, nim zadnieje.

Powiedziawszy to, zdjął ogromną fajkę ze ściennej szafy, nałożył ją z wolna, nucąc sobie po cichu jakąś piosenkę, potem wyszukał między papierami ćwiartkę papieru, rozdarł ją, zrobił *fidibus*¹²² i zapalił. Wypuszczając gęste kłęby dymu, rzekł od

¹²² *fidibus* – złożony kawałek papieru, niekiedy nawoskowany, służący do zapalania

niechcenia:

– No, kuzynku, jakże to było z tymi wilkami?

Nie umiem wypowiedzieć, jak ta jego spokojność w dziwny sposób oddziaływała na mnie. Zdało mi się, jakbym wcale nie był w K. Baronowa była ode mnie tak daleko, że ledwie myśl skrzydlata mogła za nią pogonić. Ostatnie przecież słowa rozdrażniły mnie wielce:

– Czyliż i moja przygoda na polowaniu jest tak zabawna, iż zasługuje na szyderskie żarciki?

– Ależ bynajmniej, panie kuzynku – odrzekł dziadek. – Tylko nie uwierzysz, jak to komicznie wygląda, gdy taki młokos, jak ty, śmiesznie się nadyma, iż Bóg dobrotliwy w szczególniejszej swej łasce wydobyl go z nieszczęśliwego wypadku. Miałem towarzysza na uniwersytecie. Był to człowiek łagodny i rozsądny. Otóż przypadkiem zaplątał się w jakąś sprawę honorową i chociaż go wszyscy bursze¹²³ mieli za wielkiego tchórza, postąpił sobie z taką stanowczością i odwagą, iż powszechnie wzbudził uwielbienie. Ale od tego czasu zupełnie się odmienił. Z pilnego i spokojnego młodzieńca stał się przechwalcą i nieznośnym zawadiaką. Bawił się, hulał i bił o lada drobnostkę, aż wreszcie senior jednego ze stowarzyszeń uniwersyteckich, które publicznie obraził, wyzwiał go na pojedynek i zabił. Opowiadam ci to kuzynku, ot tak sobie. Możesz myśleć, co ci się podoba. Wracając znów do choroby baronowej...

fajki. [przypis edytorski]

¹²³ *bursz* (z niem.) – członek korporacji studenckiej. [przypis edytorski]

W tej chwili dało się słyszeć ciche stąpanie po sali i zdało mi się, że żałosne westchnienie rozeszło się w powietrzu.

– Ona tam jest!

Jakaś myśl straszliwa błysnęła mi w głowie.

Dziadek nagle powstał i zawołał głośno:

– Franciszku, czy to ty jesteś?

– Tak, łaskawy panie justycjariuszu – odpowiedział stary za drzwiami.

– Franciszku – mówił dalej dziadek – zapalcie trochę ognia na kominie i jeśli można, przygotujcie parę filiżanek dobrej herbaty. Diabelnie zimno – zwrócił do mnie mowę – a przy kominku wybornie możemy sobie pogawędzić.

Dziadek drzwi otworzył, poszedłem za nim machinalnie.

– Co tam się dzieje na dole? – zapytał znowu.

– E – odpowiedział Franciszek – nic ważnego nie było, jaśnie pani baronowa znów jest zdrowiuteńka. Miała jakiś sen nieprzyjemny, od którego dostała lekkiego napadu mdłości.

Byłbym wykrzyknął z radości, gdyby mnie nie powstrzymał surowy wzrok dziadka.

– Tak – mówił stary dalej – w gruncie rzeczy byłoby lepiej, gdybyśmy jeszcze parę godzinek przespali.

– Bądźcie tylko tak dobrzy Franciszku, nie zapomnijcie o herbacie.

– Rozkaz pański, panie justycjariuszu, będzie spełniony – odpowiedział Franciszek i wyszedł z sali, życząc nam dobrej nocy, chociaż koguty już piałły.

– Posłuchaj no, kuzynku – rzekł dziadek, wytrząsając fajkę w kominie – jakie to szczęście, żeś się tak pięknie wywinał i z wilkami, i z fuzjami nabitymi.

Teraz wszystko dobrze zrozumiałem i zawstydziłem się, że dałem dziadkowi powód do postąpienia ze mną jak z niesfornym dzieciakiem.

– Bądź tak dobry, kuzynku – mówił do mnie nazajutrz – zejdź na dół i dowiedz się, jak się miewa baronowa. Zapytaj się tylko panny Adelajdy, a złoży ci pewno biuletyn dokładny.

Łatwo się można domyśleć, z jakim pośpiechem wybiegłem. W chwili jednak, gdy miałem zapukać do przedpokoju baronowej, nagle spotkałem się oko w oko z baronem. Stał zdziwiony, mierząc mnie przeszywającym wzrokiem.

– Czego pan tu chcesz? – zapytał porywczo.

Chociaż mi serce silnie uderzyło w piersi, odpowiedziałem jednak spokojnie:

– Na zlecenie dziadka przyszedłem dowiedzieć się o zdrowie jaśnie pani.

– Nie było żadnego niebezpieczeństwa. Zwykły atak nerwowy. Teraz śpi lekko i jestem pewny, że zdrowa i rzeźwa zasiądzie z nami do stołu. Powiedz pan to dziadkowi, powiedz.

Baron mówił te słowa z pewnym namiętym pośpiechem, co zdawało mi się wskazywać, że troskliwszym jest o zdrowie żony, niż by to chciał okazać. Chciałem już odejść, gdy nagle baron schwycił mnie za rękę i rzekł, patrząc na mnie płomienistym wzrokiem:

– Mam z tobą do pomówienia, młodzieńcze.

Czyż nie widziałem przed sobą ciężko obrażonego małżonka? Nie należałoż mi lękać się jakiej sceny, która by z ujmą mego honoru skończyć się mogła? Byłem bezbronny, ale w tejże chwili przypomniałem sobie o składanym myśliwskim nożu, który mi dziadek dopiero w K. podarował. Miałem go właśnie przy sobie.

Poszedłem więc za szybko postępującym przede mną baronem, z tym silnym postanowieniem, że wcale życia jego nie będę oszczędzał, jeśliby miał w ubliżający sposób ze mną postępować.

Weszliśmy do pokoju. Baron drzwi za sobą zamknął. Teraz zaczął żywo się przechadzać, założywszy ręce. Potem stanął przede mną i znów powtórzył:

– Chciałem z tobą pomówić, młodzieńcze!

Jakaś szalona śmiałość wstąpiła we mnie, odpowiedziałem więc wyniosłym tonem:

– Spodziewam się, że to będą słowa, których bez obrazy słuchać mogę.

Baron spojrział na mnie zdziwiony, jakby mnie nie rozumiał. Ponury wzrok wlepił w ziemię, a założywszy z tyłu ręce, znów zaczął przechadzać się po pokoju.

Wziął strzelbę, podniósł i włożył w nią stempel, jakby się chciał przekonać, czy jest nabita. Krew mi w żyłach zakipiła, ścisnąłem nóż i zbliżyłem się tuż do barona, aby mu przeszkodzić, jeśli by chciał do mnie mierzyć.

– Śliczna broń – rzekł baron, stawiając fuzję w kącie.

Odstąpiłem parę kroków. Baron poszedł za mną, a trącając mnie w ramię silniej niż to jest zwyczajem, rzekł:

– Muszę ci się wydawać wzburzonym i pomieszanym, panie Teodorze? Tak jest w istocie, od tysiącznych niepokojów na czuwaniu spędzonej nocy. Napad nerwowy mojej żony nie miał w sobie nic niebezpiecznego, widzę to dziś dobrze, ale wczoraj... tu, w tym zamku, w którym jakiś ciemny duch jest zaklęty, lękałem się jakiego strasznego wypadku, a zresztą po raz pierwszy w tym zamku zachorowała. I... pan jesteś temu jedynie winien.

– Jak się to stać mogło? Nie domyślałem się – odrzekłem spokojnie.

– O – mówił baron dalej – oby to przeklęte pudło rządczyni połamało się na tysiączne kawałki, żebyś był pan... ale nie, nie... Tak powinno było, tak musiało się stać, ja sam wszystkiemu jestem winien. Do mnie należało wtenczas, kiedyś pan zaczął grywać w pokoju mej żony, ostrzec pana o całym stanie rzeczy, o usposobieniu jej umysłu...

Zrobiłem minę, jakbym chciał odpowiedzieć:

– Pozwól mi pan mówić – zawołał baron. – Muszę się naprzód ubezpieczyć przed pośpiesznym pańskim wyrokiem. Będiesz mnie uważał za człowieka dzikiego, nienawidzącego sztuk pięknych. I omylisz się, gdyż tylko wzgląd oparty na głębokim przeświadczeniu zmusza mnie do wzbronienia tu, o ile można, przystępu wszelkiej muzyce, co każdy umysł, a zatem i mój, pociąga i wzrusza. Dowiedz się pan, że moja żona choruje

właśnie ze zbytniego wzruszenia, które w końcu wszystkie rozkosze życia zatruć może. W tych murach przebywając, zostaje ona ciągle w jakimś podnieconym, rozdrażnionym usposobieniu, które zwykle szybko przemija, albo też niekiedy jest poprzednikiem większej choroby. Zapytasz mnie pan, i nie bez pewnej słuszności, dlaczego tak delikatną kobietę narażam na mieszkanie w tym ponurym miejscu, wśród dzikiej, myśliwskiej wrzawy? Nazwij to pan słabością, jeśli ci się podoba, ale wyznaję, że niepodobna mi jej samej zostawić. Wśród ciągłych obaw, nie byłbym zdolny przedsięwziąć nic ważniejszego, ponieważ straszliwe obrazy różnego rodzaju przypuszczeń prześladowały mnie zarówno w lesie, jak w sali sądowej... Nadto byłem zdania, że dla słabej kobiety takie jak tu pożycie posłuży właśnie jak wzmacniająca kąpiel żelazna. W samej rzeczy wiatr morski, który po swojemu tego dzwoni po sosnowym lesie, stłumione warczenia brytanów, śmiałe i trzeźwe odgłosy rogów myśliwskich, powinny tu mieć pierwszeństwo nad roztkliwiającymi trelami fortepianu, którego żaden mąż nie powinien dotykać, ale pan się uwziął, aby moją żonę systematycznie na śmierć zamęczyć.

Baron wymówił to z pewnym naciskiem, rzucając dzikie spojrzenie. Krew biła mi do głowy, wyciągnęłam ku niemu rękę, chciałam się usprawiedliwić, ale nie dał przyjść do słowa.

– Wiem, co pan chcesz powiedzieć – mówił znów dalej. – Wiem, a jednak powtarzam, żeś pan o mało co mojej żony o śmierć nie przyprawił. Bynajmniej panu z tego nie robię

wyrzutu, ale pojmujesz dobrze, że muszę temu zaradzić. Jednym słowem, doprowadzasz mi pan żonę do egzaltacji swoją grą i śpiewem, a w dodatku, gdy ona się unosi po bezdennym morzu sennych widziadeł, które jak złośliwy czarnoksiężnik wywołujesz swą muzyką, strącasz ją potem w przepaść, opowiadając o straszliwym duchu, który miał cię nagabywać w sali sądowej. Pański dziadek wszystko mi powiedział, ale powtórz mi pan, proszę, coś widział albo nie widział, coś słyszał, czuł, czegoś się domyślał.

Zebrałem myśli i opowiedziałem spokojnie, co zaszło od samego początku do końca. Baron rzucał tylko od czasu do czasu jakie słowo, wyrażając swe zdziwienie. Kiedy doszedłem do tego, że dziadek z pobożną odwagą stawił czoło nieczystej sile i odpędził ją potężnymi słowami, baron złożył ręce i wznosząc je do nieba, zawołał:

– To opiekuńczy anioł rodziny! Oby w grobie przodków naszych spoczęły jego śmiertelne zwłoki!

Skończyłem.

– Danielu! Danielu, co tu robisz o tej godzinie? – szeptał baron do siebie, przechadzając się po pokoju z założonymi rękami.

– Więcej pan baron nie ma nic do rozkazania? – zapytałem głośno, chcąc się oddalić.

Baron ocknął się, jak z głębokiego snu, ujął życzliwie moją rękę i rzekł:

– Kochany przyjacielu, musisz uratować mi żonę, której mimowolnie tak złą uczyniłeś przysługę. Pan tylko sam możesz

to uczynić.

Poczułem, że się rumienię, i gdybym miał zwierciadło przed sobą, to pewno bym ujrzał twarz bardzo głupio zakłopotaną. Baron zdawał się cieszyć moim pomieszaniem i długo nie spuszczał ze mnie oka, uśmiechając się szyderczo.

– Jakże mam się wziąć do tego? – wybełkotałem wreszcie z wielką trudnością.

– Ależ – przerwał mi baron – nie masz pan tak bardzo niebezpiecznego pacjenta. Teraz ja pragnę korzystać z pańskiego talentu. Ponieważ baronowa raz została wciągnięta w zaczarowane koło pańskiej muzyki, więc byłoby nierozsądkiem, a nawet okrucieństwem nagle wyrywać ją z niego. W wieczornych godzinach będziesz pan zawsze z przyjemnością witany w pokojach mojej żony, tylko bądź łaskaw stopniowo przechodzić do coraz silniejszej muzyki, łącząc rzeczy wesołe z poważnymi, a przy tym i nade wszystko powtarzaj jej pan często opowiadanie o straszącej *przeszkodzie*. Baronowa przyzwyczai się do tego, zapomni, że owa przeszkoda w zamku się znajduje i cała ta historia nie większe na niej czynić będzie wrażenie, jak każda inna cudowna bajeczka, którą by znalazła w jakim romansie lub zajmującej książce o duchach. Uczyń to, kochany przyjacielu.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.